

Urodziłem się 19 stycznia 1913 roku we wsi Majdan Wierzchowiński, powiat Krasnystaw. Ojciec mój zginął w czasie wojny światowej. Wychowywałem się z matką przy dziadkach, którzy prowadzili gospodarstwo rolne. Po skończeniu szkoły powszechnej we wsi Wierzchowina poszedłem do seminarium nauczycielskiego w Szczebrzeszynie. Rodzeństwa nie miałem, ponieważ ojciec poszedł na wojnę i zginął, gdy ja miałem półtora roku.

Powiat Krasnystaw przedstawia sobą ludność jednolitą, czysto polską. Ponieważ ja wychowywałem się na wsi, pracowałem od dziecka na roli. Szkołę kończyłem pasąc krowy, wykonując wszystkie roboty w domu. Wtedy był kryzys, więc seminarium skończyłem dzięki swoim wychowawcom, ludziom nadspodziewanie wspaniałym. Pieniądzy na opłacenie szkoły nie było, więc często zarabiałem korepetycjami a nawet kręceniem wody do umywalni. Dyrektorem szkoły był Franciszek Cybulski i do tej pory jest to dla mnie postać niezapomniana. Wychowawcą moim był Zygmunt Syrek; zginął w Oświęcimiu. Biologię uczył Fenc, który również zginął w Oświęcimiu, podobnie Szubertowski, fizyk. Był również Maż, późniejszy wizytator szkół średnich na województwo Lublin.

Ponieważ Szczebrzeszyn to było małe miasteczko, w większości byli w seminarium synowie rolników, rzemieślników i miejscowej inteligencji. Mieszkałem w internacie, na jego opłacenie zarabiałem. Seminarium ukończyłem w roku 1933. Ja pochodziłem ze wsi i wiedziałem, co to znaczy wieś, więc pracowałem dla wsi bardzo dużo. Jeszcze będąc w seminarium organizowałem przedstawienia, odczyty. Dużo pracowałem społecznie, nawet w swojej rodzinnej wsi. Byłem pierwszym, który stamtąd wyszedł w

świat.

W tym okresie należałem do harcerstwa, nawet byłem drużynowym. Później chciałem poświęcić się tej pracy, ale wyszło inaczej. To była chorągiew lubelska. Nasza szkolna drużyna seminarium nauczycielskiego w Szczepieszynie liczyła pięć zastępów. To było harcerstwo inne, niż dzisiaj, my byliśmy wychowywani w duchu dla Polski. Prawa harcerskie dla nas stanowiły rzecz świętą. Harcerstwo przedwojenne wychowywało młodzież do największych poświęceń. Oczywiście istniał kult Marszałka, ale po jego śmierci, nawet w tych starszych drużynach, moim zdaniem harcerstwo kierowało się trochę na prawo. To jest moje subiektywne spostrzeżenie. To było wynikiem wychowania - cała szkoła i nauka zostały skierowane na wychowanie obywatelskie i patriotyczne, w pełnym tego słowa znaczeniu. Według mojego odczucia góra harcerstwa zaczęła iść po linii Narodowej Demokracji. Polska była państwem wielonarodowościowym a Narodowa Demokracja stawiała sprawę narodową, więc młodzież wychowywana w duchu patriotycznym „siłą rzeczy” głosiła program Polski dla Polaków.

Po skończeniu seminarium i zdaniu matury w 1933 roku zostałem powołany do szkoły podchorążych w Tomaszowie Lubelskim. Ukończyłem ją z szóstą lokatą, to znaczy bardzo dobrze. To był rok 1934 na 1935. Z tej szkoły pamiętam bardzo dużo, bo ja byłem żołnierzem dobrym, ale i trochę rozrabiaką. Młodym się było, a wiadomo, co to znaczy wojsko i młodość. Nie byłem sam, miałem przyjaciół serdecznych; została po nas w szkole podchorążych legenda pewna. Nic nas nie potrafiło rozłączyć i podzielić. Stać nas było na różne wesołe ekscesy, byliśmy przedstawiani młodszym rocznikom jako wyjątkowy zespół. Ci koledzy to Doliwa-Jankowski, Dąbrowski i Baranowski. Nosiliśmy jeden karabin na ramionach w

czterech, bo byliśmy jednakowego wzrostu. Tylko taka różnica, że oni byli już po studiach wyższych a ja byłem po szkole średniej. Oni byli życiowo mądrzejsi ode mnie o studia, mieli po 26 lat a ja dobiegałem dwudziestki.

Komendantem szkoły był kapitan Mikołajczyk, żołnierz spod Verdun, z niemieckiej armii. Moim plutonem dowodził por.Orłowski, dowódcą drugiego plutonu był por.Mucha a trzeciego Dreisler. Pamiętam nawet swoich dowódców drużyn, bo to byli wszystko żołnierze zawodowi z niezwykłą przeszłością.

Po ukończeniu podchorążówki poszedłem pracować zgodnie z wykształceniem, jako nauczyciel. Pracowałem najpierw we wsi Zawadka, powiat Biłgoraj. Później złożyłem celująco egzamin i zostałem mianowany kierownikiem szkoły we wsi Jędrzejówka. Tam byłem do roku 1939. Pracując jako nauczyciel, poświęciłem się pracy społecznej. Zostałem prezesem powiatowym Związku Młodzieży Wiejskiej "Siew"; bardzo miło mi się tam pracowało. Jeśliby ktoś pojechał na temte tereny, to miałby bardzo ciekawy materiał, bo tam włożyłem dużo pracy. Tam właśnie zastała mnie wojna.

Związek Młodzieży Wiejskiej "Siew" był nastawiony na pracę społeczną i samokształcenie. Interesowaliśmy się polityką do pewnego stopnia, żądaliśmy, żeby polepszyć dolę wsi. Sytuacja wsi była wtedy nieszczęśliwa. Byliśmy zwolennikami tak zwanego agraryzmu. Agraryzm to był kierunek polityczny, który właściwie tylko Litwa przedwojenna w pełni realizowała; żądaliśmy upelnorolnienia gospodarstw, całkowitej zmiany struktury wsi. Poza tym mieliśmy plany przeróżne, nawet jak ma być wieś zabudowana, żeby była w skupisku jednym. Planowaliśmy, gdzie będą kolonie, gdzie rodzaj wioski zabudowanej, itd. To były sprawy, które stały na porządku dziennym naszej pracy. No i poza tym kultywowało się miłość do ojczyzny i do wsi. Jako prezes

zatrudniałem dla młodzieży instruktora, którego zadaniem było wygłaszanie pogadarek, uczenie piosenek i pomoc w pracy społecznej. Po moim aresztowaniu został w Polsce Ludowej starosta - jego nazwisko Szcząchor, nie żyje już. Kilku innych również odegrało w Polsce Ludowej pewną rolę: komendant wojewódzki BCh, Pasiak, też był z ZMW; później został posłem w Polsce. Nasze drogi się rozeszły, ponieważ on poszedł do tego Stronnictwa Ludowego, które po wyzwoleniu założył Banach, a ja wróciłem z obozu i powiedziałem: "Jestem bezpartyjny." Inni działacze to Badach, który po moim aresztowaniu został prezesem spółdzielni i Blicharz, który był działaczem kółek rolniczych na cały powiat.

Wieś przedwojenna była rozdrobniona. Żądaliśmy upelnorolnienia, bo myśmy zakładali, że gospodarstwa położone bliżej miasta mają liczyć mniej więcej 10 ha, natomiast we wsi położonej dalej od miasta najmniejsza powierzchnia gospodarstwa ma wynosić 15 ha. Zresztą to dzisiaj się potwierdza, bo Solidarność Rolników Indywidualnych mniej więcej zakłada to samo. Oni właściwie wracają teraz do agraryzmu. Za moich czasów wieś pozostawała pod wpływem kościoła, ale politycznie była jednolita. Wieś dopiero się rozbiła po wyzwoleniu i po reformie rolnej. Przedwojną istniały tylko dwie organizacje wiejskie: "Wici" i "Siew". "Wici" były bardziej na lewo, a "Siew" bardziej na prawo. Współpracowaliśmy z "Wiciami". Nie mogło być inaczej, tylko że tak się złożyło, że na terenie powiatu Biłgoraj było tylko jedno koło "Wici". Oni później zostali wchłonięci przez nas.

Czy istniała komunistyczna infiltracja? Dzisiejsi działacze komunistyczni powiadają, że oni działali, ale ja osobiście się z nimi nie zetknąłem. Było kilku Żydów głoszących komunistyczne hasła, ale trudno mi powiedzieć, czy oni byli członkami partii. W każdym bądź razie swoją przynależność ujawnili dopiero po

wkroczeniu Armii Czerwonej do lubelskiego i razem z nią się wycofali. Muszę powiedzieć, że ja osobiście zetknąłem się tylko z jednym młodzieżowym działaczem komunistycznym - nazywał się Stefan Kolano, ale on członkiem partii nie był.

Zbliżał się rok 1939, spodziewano się zagrożenia. Przede wszystkim ze strony Niemiec, dopiero w sierpniu 1939 roku wyszło, że nastąpi zagrożenie ze wschodu. Od roku 1936 budowano umocnienia na granicy wschodniej. Sarny, Nowogródek, Wileńskie - w tych rejonach również młodzież akademicka pracowała przy budowie tych umocnień.

Mogę śmiało powiedzieć, że miałem wgląd w cały powiat. Na pożyczkę na dar narodowy wieś zareagowała spontanicznie. Ufundowaliśmy jeszcze w roku 1935 dwa karabiny maszynowe dla wojska mimo tego, że druga strona powiatu biłgorajskiego miała bardzo dużo prawosławnych; tam później powstał ten ruch banderowców w gminach Księżopol, Różaniec i Babice. Prawosławni byli nasiedleni w 1905 roku, mieli swoje cerkwie. Tam jeden sąsiad był prawosławny, drugi był katolik, początkowo to nie miało znaczenia. W Zawadce ksiądz uczył dzieci religii rzymskokatolickiej i pop - prawosławnej. U mnie w szkole jak ksiądz wykładał, to wszystkie dzieci szły na wykład księdza, jak pop - wszystkie dzieci do popa. Ten rozdźwięk na dobre rozpoczął się właściwie w roku 1942. Od roku 1936 pod egidą wojska zaczęto na terenie powiatu burzyć cerkwie. To były początki tego rozdźwięku.

W roku 1939 skończyłem Centrum Wyszakolenia Piechoty w Zambrowie. Dostałem niebieską kartę, bo byłem na specjalne wezwanie. Wybucho wojna, nie dostaję mobilizacji. Niemcy się wycofali i przyszli Rosjanie, bo oni mieli zająć te tereny. Doszli nawet do Jędrzejówki, tak gdzie ja uczyłem, ale później się cofnęli. Ze Rosjanie byli w Jędrzejówce, to pamiętam, ale ja

osobiście się z nimi nie zetknąłem. U mnie w szkole zakwaterował dyrektor fabryki zbrojeniowej ze wsi Dęba Wielka z całą swoją administracją. W randze pułkownika. On przedtem był attache' wojskowym we Francji. Jego żona była Francuzką. Jak usłyszała przez radio komunikat, że Sowieci wkroczyli do Polski 17 września, zemdląła. Akurat była z nami jej matka, która przyjechała z Francji na wakacje, to było dla niej straszne przeżycie. Jak się skończyła wojna i Niemcy wkroczyli, to ten dyrektor się wycofał ze strażą, a cały magazyn broni zostawił u mnie w szkole: 10 kabeków, granaty, amunicję, broń krótką, trzy visy, to dokładnie pamiętam, bo jednego visa nosiłem do końca wojny.

Ludzie słuchali komunikatów bez przerwy. Każdy śledził rozwój wydarzeń. Wieś jest przedstawiana często w niewłaściwym świetle, a przecież wieś to naprawdę przeżywała. Wszyscy myśleliśmy co będzie dalej, jak Niemcy wkroczą. Początkowo granica między Niemcami a Sowiecami miała przebiegać na wschód od nas, dopiero później uzgodnili, że Bug będzie linią demarkacyjną. Ukraińcy byli z drugiej strony powiatu, więc jaka była ich reakcja na wkroczenie wojsk - nie wiem. To było ode mnie czterdzieści parę kilometrów.

Rosjanie się wycofali, przyszli Niemcy. Ostatnia bitwa została stoczona pod wsią Zwola w powiecie Kraśnik, 5 października. Już przyszli Niemcy, więc czekaliśmy co będzie, jakie kroki podejmą. Początkowo było spokojnie, poza tym że we Frampolu, w gminie sąsiadującej z Jędrzejówką, spalili 30 ludzi w kościele.

Niemcy kazali wszystkim zgłosić się do pracy, każdy na swoim stanowisku. Ja się nie zgłosiłem, natomiast moja żona się zgłosiła. 11 listopada już byłem w Służbie Zwycięstwa Polski. Jak

to się stało, że tak wcześnie? Otóż przed wojną starostą w powiecie Biłgoraj był Szałowski, pułkownik legionowy. On był spokrewniony z Bekiem. Jak rząd został już wywieziony do Rumunii, to szukali połączeń z Polską. A ponieważ nasz starosta był związany z grupą rządzącą, to stosunkowo wcześnie nici wiążące Rumunię z Polską zostały zawiązane na linii Zamość - Biłgoraj. Pierwszym komendantem Światowego Związku Żołnierzy został Spalony. To jego prawdziwe nazwisko, pseudonim "Słoma". To był mój przyjaciel z pracy, znałem go przed wojną. On został komendantem powiatowym. Jego szefem organizacyjnym został Antoni Radzik. Mnie mianowano komendantem gminy Kosudza. Ale chodziło o to, żeby być bliżej środka powiatu i z Jędrzejowki żona została przeniesiona do wsi Kąty koło Frampola, mniej więcej w środku powiatu biłgorajskiego, żebym ja był bliżej miasta. Tam był budynek szkolny niezależny i przy tej szkole hektar ziemi. Żona uczyła w szkole, ja zaś poświęciłem się li tylko pracy organizacyjnej. Miałem zaczątek, ponieważ broń mi zostawił ten dyrektor Dęby Wielkiej. Później na terenie zamojskim rozbrajała się armia Dęba - Biernackiego i zostało bardzo dużo broni w lasach. Oprócz tego pod Zwolą, po bitwie we wsi Momoty, gdzie były stawy hrabiego Zamojskiego, wojsko polskie uciekając wyrzuciło do wody bardzo dużo broni. Bitwa pod Zwolą była 5 października. To była ostatnia bitwa. Przy połowie ryb tę broń wydobywano, bardzo dużo poszło do nas, bośmy nawiązali kontakt i braliśmy tę broń.

Służba Zwycięstwa Polski - ja podaję datę, kiedy składałem przyrzeczenie, bo to było dla mnie ważne. Zrobiliśmy to uroczyste w mieszkaniu u tego Spalonego, w obecności trzech jeszcze moich przyjaciół: Radzika, Szalaka i Nędzyńskiego. Tworzyliśmy, jak można powiedzieć, początkowy tron

organizacyjny. Ten Spalony został w roku 1942 zamordowany przez Gestapo, pośmiertnie mianowany majorem i odznaczony Krzyżem Virtuti Militari 5 klasy. Pierwszy powiatowy komendant, najpierw Światowego Związku Żołnierzy, później ZWZ.

To już była konspiracja. Choć mieszkałem z żoną, często nocowałem po całym terenie. Powiat biłgorajski w czasie okupacji przemierzałem pieszo i rowerem, jak kto chce tylko. W roku 1941 zostało zaczęte budowanie Stronnictwa Ludowego. Wtedy do mnie, starego działacza "Siewu", wychowanego na wsi, związanego z wsią, zwrócono się z prośbą, żebym to organizował. Za zgodą komendanta podokręgu ZWZ, który też był moim przyjacielem, majora Markiewicza, przeszedłem do organizowania Stronnictwa Ludowego i zostałem komendantem powiatowym Baatalionów Chłopskich. Wtedy zorganizowałem, można powiedzieć, powiat dobrze. W powiecie liczyliśmy 1700 członków. Liczebnie przewyższaliśmy ZWZ. To byli wszystko moi przyjaciele. więc doprowadziłem do tego, że w roku 1943 nastąpiło pełne scalenie się oddziałów BCH z oddziałami ZWZ. Powstała Armia Krajowa, po nawiązaniu tego czwórporozumienia stronnictw. Początkowo na terenie podokręgu. W międzyczasie zorganizowałem trzy oddziały leśne i wszystkie oddziały taktyczne, bo trzeba powiedzieć, że z oddziałów BCH wyłączyliśmy tak zwany Korpus Bezpieczeństwa Publicznego. To byli ludzie, którzy mieli objąć posterunki dawnej policji i stworzyć władzę cywilną. Około czterdziestu ludzi na każdą gminę. A oddziały taktyczne, bojowe, podporządkowały się AK.

Odbyło się posiedzenie, musiał być komendant inspektoratów, wszyscy dowódcy. Wpierw w roku 1943 nastąpiło w Warszawie tak zwane czwórporozumienie stronnictw, gdzie wszystkie stronnictwa zobowiązały się swoje oddziały bojowe poddać jednolitemu dowództwu. Potem, w sierpniu 1943 zrobiliśmy posiedzenie na



szczeblu podokręgu, to znaczy powiat Biłgoraj, Tomaszów, Zamość i Hrubieszów. W lubelskim archiwum AK jest zachowany protokół z tej konferencji. W posiedzeniu brał udział komendant podokręgu z ramienia AK major Markiewicz, pseudonim "Kalina". Już byłem wtedy delegatem rządu i z racji tej funkcji brałem udział w tym posiedzeniu. Byli wszyscy dowódcy powiatów, obwodów, niektórzy dowódcy oddziałów leśnych. Obradowaliśmy w takiej kolonii koło wsi Komodzianka, posiedzenie trwało całą noc i cały dzień, bo trzeba było wszystko uzgodnić i trwały targi, kto ma zostać naszym komendantem, kto dowódcą: czy ten z BCh, czy z AK. W końcu uzgodniliśmy, że komendantem obwodu Zamość zostanie Bechowiec Michał Polak, pseudonim "Łyś". W powiecie Biłgoraj komendantem został dotychczasowy komendant AK - kapitan Gniewkowski, pseudonim "Orsza", a jego zastępcą porucznik Białas, pseudonim "Trojden". Jedynie w powiecie Tomaszów Lubelski nie było zmian, została kadra oficerska, dawna struktura. A powiat Hrubieszów - tam był jeden oddział BCh liczący 700 osób - objął Basaj, pseudonim "Ryś". Stacjonował w powiecie Hrubieszów, ale oni tam mieli z Ukraińcami już zatargi, więc biwakował na terenie powiatów Biłgoraj i Zamość.

Delegatem rządu londyńskiego na powiat Biłgoraj z ramienia Stronnictwa Ludowego zostałem już wcześniej, w sierpniu. Wezwali mnie do Lublina. Tam był przewodniczący, nazywał się Wójcik, adwokat - ten który później z Mikołajczykiem uciekł do Londynu. Nominacji na piśmie mi nie dali: "Ponieważ powiat Biłgoraj podpada Stronnictwu Ludowemu, proszę bardzo, obejmujesz stanowisko delegata".

Poza potyczkami z Niemcami, od 1942 roku zaogniły się stosunki z Ukraińcami. W Zamościu zorganizowała się grupa Ukraińców sympatyzujących z banderowcami. Oni próbowali przenikać

na te tereny, które częściowo były zamieszkiwane przez Ukraińców. Ale to nie przyniosło im wielkich dokonań. Powiat Hrubieszów był bardziej nasiedlony Ukraińcami, niż Biłgoraj, czy Zamość. W Biłgoraju była ich nieduża garstka. Oni wtedy już występowali wrogo przeciw Polakom i współpracowali z Niemcami. Obsadzili prawie wszystkie spółdzielnie i organizowali oddziały. Myśmy zorganizowali zamach na jednego ukraińskiego przywódcę, ale się nie udał. Największym działaczem ukraińskim, ich przywódcą, był adwokat Zawalykut. Im Niemcy obiecywali, że stworzą samoistną Ukrainę. Później, jak Niemcy nie dali tej samoistninnej Ukrainy, to oni zaczęli zmieniać front. W czerwcu 1944 roku szukali kontaktu z nami, żeby wystąpić wspólnie przeciwko Rosjanom, których się spodziewaliśmy. Tylko że ja na tę koncepcję nie poszedłem i nie konferowałem z nimi. Ale przyjechali, dwukrotnie byli u mnie, żeby pojechać z nimi na spotkanie, celem omówienia jednolitego wystąpienia. I muszę powiedzieć, że od roku 1944, jak już wkroczyli Rosjanie, to oni Polaków przestali prześladować. Nawet jak Polacy nasiedlali te ich ziemie, to często wyprowadzali rodzinę przed dom: - "Wy sobie idźcie" - a wtedy dopiero chatę podpalali. Oni chcieli zostawić spaloną ziemię za sobą.

W tym rejonie działały jeszcze inne oddziały partyzanckie. W roku 1943 masowo napływali Rosjanie. Było kilka oddziałów, które liczyły po 300, 400 ludzi. Najsłynniejszy był pułkownik Prokopiuk oraz pułkownik albo major Czepiga. Oni rozsiewali propagandę komunistyczną, więc między innymi ja wydałem taki rozkaz na piśmie, że należy zwalczać politycznie ich wpływy. (W roku 1962 ten rozkaz dostał się w ręce jakiegoś pismaka, który napisał, że ja kazałem rozstrzeliwać partyzantkę radziecką, co jest nieprawdą.) Oparcia w ludności partyzantka radziecka nie miała na terenie powiatu Biłgoraj. Oni piszą, że spotykali się z sympatią

ludności, ale to nie ma pokrycia w rzeczywistości. W początkowej fazie, w roku 1942, to byli ci, którzy uciekli z niewoli niemieckiej; mieli broń i zajmowali się bandytyzmem. To był poważny problem na terenie naszego powiatu, ale uporaliśmy się z tym w ciągu czterech miesięcy, środkami radykalnymi. Dopiero później pojawiły się oddziały zorganizowane. Wtedy już nie było rabunków u ludności wiejskiej, najwyżej zabierali z dworów. Oni musieli mieć zaopatrzenie ze zrzutów.

Pierwsza moja styczność z Rosjanami była dosyć śmieszna. To był rok 1942, listopad. Wraciałem rowerem z jednej placówki. Miałem na sobie kożuszek, buty z cholewami. Jadę przez las, jakiś człowiek krzyczy: "Pan pastoj!". Oglądam się, jeden leży z erkaemem, trzech z kabekami - :Pastoj!". No więc stanąłem. Wzięli mnie, rozebrali, buty mi zdjęli, zegarek, dali taką bluzę uczniowską, płaszcz i drewniaki. Ja tak dojechałem do komendanta placówki, nazywał się Stefan Krzaczek. Pyta: "Co się stało?" A ja: "O widzicie, tak". A ci Rosjanie biwakowali w lesie, gdzie jego teść był leśnikiem, koło Biłgoraja. -"Czekaj, jutro będziesz miał z powrotem." I faktycznie, na drugi dzień tylko marynarki nie było.

Pierwsza potyczka, jaka się zdarzyła w konspiracji, była pod Zaborecznem, na styku powiatów: Tomaszów, Zamość, Biłgoraj. Dowodził naszymi oddziałami cichociemny, jego nazwisko Miller, pseudonim "Vis". (Zginął później w Warszawie niepotrzebnie, bo gdzieś poszedł kawiarnię obrabować, czy coś takiego i został przez Niemców zastrzelony.) To było w roku 1942. W tej bitwie wzięło udział siedemnastu Rosjan, którzy nie byli jeszcze z tych oddziałów normalnych, ale z tych resztek, które on zebrał. Ja się śmiałem: "No jakżeś ty z nimi rozmawiał?" A on powiedział, że rozumieli. Ten Miller, to był dowódca ogromnej odwagi. Dzisiaj

takich ludzi - bo ja wiem, czy się spotka?

W roku 1944 nasz wywiad donosi, że wylądowują się trzy dywizje niemieckie: jedna w Zwierzyńcu powiat Zamość, druga w Rudniku nad Sanem i trzecia w miejscowości Szastarka, w powiecie Krańnik. I to dowodzi tego, że Niemcy przed spodziewaną ofensywą radziecką chcieli oczyścić lasy. Wtedy w lasach znajdowały się następujące nasze oddziały: Haniewiczza, pseudonim "Wojna", Steglińskiego, pseud. "Cort", "Wira - on teraz jest ambasadorem-Bartoszewski,"Rysia"-Basaja z BCh, oddział Wróbla, ps."Anton", Mazura - "Skrzypika", "Błyskawicy" - Kędry oraz oddział "Groma" - Błaszczyka. Teraz kwestia, co robić. 28 maja, tej daty nie zapomnę, do mojego mieszkania w szkole w Kątach przyjeżdżają: komendant inspektoratu A.K., major "Kalina" - Markiewicz, jego zastępca "Adam", dowódca obwodu Hrubieszów - "Irka", kapitan Gniewkowski-dowódca obwodu Biłgoraj, "Orsza" oraz jeszcze dwóch dowódców oddziałów i Antoś Radzik. Narada. Rozpoczyna się wiec. "Kalina" powiada: "U nas obowiązuje już od dnia dzisiejszego "Burza". Dostałem rozkaz bezpośredni, że mam nie ustępować, tylko stoczyć bitwę. -"Ale to trzy dywizje idą." - odpowiadam. Mówi: "Niemcy daleko w las nie pójdą. będziemy stawiali opór, bo w lesie jest już ponad trzy i pół tysiąca ludzi zgrupowanych." Jeszcze oprócz tego wymaga na mnie mobilizację oddziałów ze wsi Luków, Babice i Różaniec. Wszystkich tych, którzy mają broń. Powiada: "Rozkaz!" - No rozkaz jest rozkaz. Ja powiadam, że zgniotą nas. Mówi: "No trudno." Żeby nie był sam z delegatury, to poprosiłem swojego zastępcę. Mój zastępca nazywał się Antoś Bryła, pseudonim "Tom". Zapadła decyzja stoczenia bitwy. Ja trochę zaniepokojony, zanim wybrałem się do Lublina, szukałem delegata okręgu. Potem chciałem dotrzeć do komendanta okręgu AK, do Tumidajskiego, że tu przecież nas zgniotą, żeby

jakimś rozkazem zdemobilizować te oddziały, czy coś takiego. Zanim dotarłem do Lublina, gdzieś 10 czerwca dotarłem do delegata okręgu, Cholewy, pseud. "Paśnik" a on o niczym nie wie. Przez pośrednika umawiam się na spotkanie z komendantem okręgu w kościele garnizonowym w Lublinie na mszy o siódmej rano. Mówię: "Sytuacja jest taka, że Niemcy nas zgniotą". - "Ja to sprawdzę." Na drugi dzień ma mi odpowiedzieć. Idę na punkt kontaktowy, przysyła tylko delegata, że wszystko wyjaśnione, sprawa załatwiona. Ale słyszę w Lublinie wybuchy, artyleria, samoloty leca. Jadę, rowerem do wsi Giełczew, tam już miałem konie. Jadę do Hoszni Ordynackiej, gdzie w szkole spotykam "Adama", nazwisko Prus. (Te oddziały miały już łączność radiową między sobą, zasięg tylko 30 km - to była kompania "Wojny", kadrowa, przygotowana na województwa, by tworzyć łączność, uzbrojona całkowicie w nowoczesną broń zrzutową angielską) Mówi do mnie: "16 lipca straciłem kontakt z oddziałami, nie wiem, co jest. W tej chwili konferuję z oddziałami radzieckimi, bo Niemcy zamknęli szosę."

Właśnie wtedy rozgrywała się bitwa, która miała dwa momenty: "szturmwind 1" i "szturmwind 2". W tym pierwszym brał udział tylko jeden z naszych oddziałów NOW-u w tym okręgu, dowodzony dawniej przez "Ojca Jana" a teraz przez "Konara" - Usowa, który współpracował z AK. Reszta, to były oddziały AL, pepeerowskie oddziały z powiatu Krańnik i oddziały rosyjskie. Tam Moczar właśnie stoczył tę bitwę na Fortowym Wzgórzu i potem tyle krzyku o niej narobił. To był pierwszy etap. Niemcy zamknęli drogę na linii Janów - Biłgoraj i Biłgoraj - Rudnik. Rosjanie się przebili i ich oddziały wycofały się. Oni opowiadają, że tam była bitwa i że tam było zwycięstwo, ale to nieprawda. Bitwa trwała cztery dni, Niemcy się bawili od 12 do 16 lipca. Dwa oddziały rosyjskie wyszły z okrążenia. Zaczął się "Szturmwind 2", kiedy do akcji

wkroczyli nasi i Niemcy zamknęli szosę tak: Biłgoraj - Tarnogród, Biłgoraj - Zwierzyniec, Zwierzyniec przez Bondysz do Tarnogrodu - okrążyli to. Trzy dywizje niemieckie szły w lasy wspomagane przez artylerię i samoloty. Z naszej strony brało udział przeszło 3600 ludzi. I tam wtedy rozegrała się tragedia, której do końca nie rozumiem. Nasze oddziały cofały się w głąb Puszczy Solskiej. Ja to dotychczas przeżywam, bo to byli koledzy, przyjaciele, znajomi. Rosjanie, którzy się wycofywali, nawiązali kontakt, bo dowództwo całości dostał major Markiewicz. Prus, którego spotkałem jadąc z Lublina, był po drugiej stronie szosy i jego ten kocioł nie zajął. Jak go spotkałem wtedy w Hoszni mówi: "Nie wiem, co jest. Chcę Rosjan namówić, żeby razem na Niemców uderzyć." To Rosjanie powiedzieli: "My po telefonu, po radiu dostali rozkaz, żeby iść na Rawę Ruską. Tu nie pojedziom." Okazało się dalej, że oddział Prokopiuka, który był okrążony w tym "szturmwind 1" przerwał się i doszedł do zgrupowania "Kaliny", to znaczy do naszych ugrupowań. Tam prawdopodobnie rozegrała się rozmowa między "Kaliną" a Prokopiukiem. Mam wrażenie, że to dotyczyło tego, kto ma objąć dowództwo nad całością. Markiewicz nie mógł się zgodzić, żeby dowództwo objął Rosjanin. Rosjanie poszli. Tam przepływa rzeka Tanew i są olbrzymie bagna. Zginęło ich bardzo dużo, ale część przeszła. A Markiewicz, jak wynika z relacji dalszych, próbował na drugi dzień w innym miejscu uderzyć, żeby wyrwać się z okrążenia. Ale jak rozegrała się ta tragedia w ostateczności, to do tej pory nie doszliśmy z kolegami. Tam były nasze tabory wojskowe, wozy z żelaznymi obręczami na kołach. Jak te wozy wjechały w bagna - ugrzęzły. Nadleciały samoloty, wszystko wybili. Z oddziału "Wojny" zostało sześciu ludzi. Ilu naszych zginęło w sumie, trudno powiedzieć. Takiej ewidencji nie ma. W każdym bądź razie wszystkie oddziały

zostały rozbite. Zginął Markiewicz, zginęło trzech dowódców oddziałów Bechowskich. Wycofał się jedynie "Wir" - on stracił jeden pluton bodajże przy wycofywaniu - i ten "Ryś", który z powiatu Hrubieszów miał 700 ludzi w oddziale; zniszczyli mu chyba tylko dwa plutony, bo poszedł wzdłuż Tanwi i zdołał się przerwać.

To się skończyło 25 lipca; we wsi Rapy Niemcy rozstrzelali ostatnich 75 osób z tych, co brali udział. Pomnik nad nimi zbudowali po wojnie w Osuchach, tam, gdzie ta bitwa się stoczyła, w Puszczy Solskiej. Pomnik piękny. W Kolegiacie w Zamościu nazwiska poległych wypisano... Myśmy ustalili ok. 350 nazwisk. Gdy w 1956 roku nastąpił pożar w Puszczy Solskiej, to okazało się, że bardzo dużo rannych poukrywało się na drzewach i dopiero cały szereg kości ludzkich znaleziono. Ilu tam zginęło, nikt nie policzy. Mnie wypadło później ponawiazywać łączność.

Rosjanie 26 lipca zajęli Biłgoraj. Ja tego samego dnia dostałem rozkaz ujawnić się. No ale jak będę się ujawniał, pójdę sam? Zmobilizowałem z tego PKB oddział 220 ludzi, wkroczyliśmy do Biłgoraja, zajęliśmy budynek starostwa i 27 lipca rozpocząłem swoje urzędowanie. Mnie przypadł obowiązek pochowania tych rozstrzelanych pod Rapami, nawet przemawiałem nad grobem. Oddział nasz wziął udział jako kompania honorowa, ludność usypała kopiec na cmentarzu w Biłgoraju. Jak to się dziś przedstawia, nie wiem, nie byłem tam. No ale trzeba nawiązać jakiś kontakt z Rosjanami. Nie bardzo się, boję, bo mam 220 ludzi i biwakują razem ze mną. Jest komendant wojenny rosyjski, trzeba jakoś z nim porozmawiać. No ale nie pójdę do niego powiedzieć: "panie, ja tu władzę obejmuję!"

Prowadził taką prywatną restaurację nasz człowiek. Poszedłem do niego i mówię tak: "Słuchaj no, ile możesz postawić wódki, żebyś nie stracił dużo, bo ja ci nie zapłacę, bo pieniędzy nie

mam. Może kiedyś." - "Na co?" - pyta - "Chcę tu ściągnąć tego komendanta wojennego miasta, chcę tu się z nim poznać." - "A na tę rzecz to zrobię bigos, przygotuję wódki." - "Ja ci jutro dam znać." Takich dwóch chłopaków wybrałem z naszego oddziału, którzy mieli prezencję, opaski założyli, poszli do Rosjan i poprosili tego komendanta wojennego w szarży majora, że ja się z nim chcę spotkać w restauracji. Rosjanie urzędowali w magistracie. On się zgodził, że przyjdzie, na godzinę trzecią. Mówię do swoich chłopaków: "Wy tu ich przyprowadźcie tak na trzecią, a ja się trochę spóźnię. Możecie sobie podpić, tylko nie pobijcie się czasem." Ja jeszcze wziąłem swego przyjaciela Antosia Radzika, mojego zastępcę. Przyprowadzili tego komendanta. Przyszło ich chyba siedmiu. Temu restauratorowi zapowiedziałem: " Pierwszy kieliszek wódki to mi nalej, ale później jak będziesz nalewał to pamiętaj, jeżeli będzie czysta wódka, to mnie wodę, a jeżeli kolorowa, to herbatę." Ugościliśmy tych Rosjan, potem ten komendant odprowadził mnie na miejsce i powiedział: "Słuszaj, ja ciebie dam maszynę, eskortę, ty do Chełma jedź do PKWN." Mówię mu: "Słuszaj, chadziain zdzieś to ja, a wy goście. Oni tu powinni przyjechać do mnie, nie ja do nich". Głową kręcił, trzy dni tak chodził. Chłopaki zawsze go wzięli do siebie, wódki mu postawili, wiadomo jak to jest.

Po pogrzebie o którym mówiłem, przychodzi do mnie komendant NSZ na powiat Biłgoraj, Stobaj. Mówi: "Wiesz ty co, czterech ludzi w Krzeszowie aresztowali". - "O cholera, źle! Coś tu nie w porządku." Poprosiłem swoich, żeby przyprowadzili tego komendanta, bo on się dwa dni już nie zjawia. Poszli, wracają: "Chyba skurwysyn się ukrywa, bo przez okno widzieliśmy, że to on, ale powiedzieli nam, że go nie ma." 7 sierpnia, godzina dziesiąta rano, słyszę przekleństwa na korytarzu, krzyk po rosyjsku, ktoś



wchodzi. Otwierają się drzwi, wchodzi masywnie zbudowany i krzyczy, czy ja wiem, kto on jest. Ja mówię: "Pułkownik". - "Ja jestem naczelnik wojennowo kruga po cząści NKWD!" - "A ja jestem przedstawicielem rządu, proszę siadać." Papierosa. On zaczyna, że: "Co ja tu robię?! Wiecie, ulotki, zabezpieczenie majątku, co to jest? To jest wojna." A ja mówię do niego: "U nas przede wszystkim, panie pułkowniku, to się mówi po cichu. I się rozmawia, nie krzyczy. Że jest wojna, to my wiemy. Ale my jesteśmy waszymi sprzymierzeńcami. Co potrzebne dla armii radzieckiej, damy wszystko. Ma pan przecież odezwy, ulotki, jakie wydaliśmy dla ludności." Ten zaczął spokojnie gadać, że ja dziełem majątek poniemiecki a to jest majątek Armii Czerwonej. Ja mówię: "Nie, tu jest władza polska, wy jesteście armią, ale władze cywilne to my organizujemy." Tak z godzinę rozmawiamy. "On powiedział: "No jeszcze pogawarim." I wyszedł. Już czułem, że jest coś nie w porządku.

To był cały powiat: tam były magazyny zboża, magazyny dawnej spółdzielni "Rolnik", stacja kolejowa - to wszystko trzeba było zabezpieczyć. Miałem 220 ludzi, więc od razu posterunek policji powstał, porządek w mieście utrzymywać. Ludności przedstawiliśmy się, że tu jest władza polska. Trudno opowiedzieć, jak nas ludność witała. To było spontaniczne, całe miasto wyszło nas witać. To były jedne kwiaty...

Elementów prosowieckich nie było. Myśmy zajęli Biłgoraj 27 lipca, zaś 2 sierpnia przyszedł taki oddział PPR z Kraśnika. Jakies 26, czy 30 ludzi uzbrojonych i oni od razu przytulili się w tej komendzie radzieckiej. Oni dla nas byli bez znaczenia. Nas było 220 ludzi zaprawionych w walkach leśnych. To była siła. Jak ten pułkownik wyszedł, zwołałem swoich współpracowników. Był mój zastępca Antoś Bryła, Sokołowski Józio, pseudonim "Różga",

Jasielski, Czaporowski, Różycki, cały mój sztab, razem sześciu ludzi. Zebrałem ich i mówię: "Wiecie, tu się dobrze nie zanosi. Kto chce, niech idzie do domu. Ja zostanę, co będzie, to będzie." To samo powiedziałem do żołnierzy. Kontakt z innymi rejonami nie miałem. Nie wiedziałem co się dzieje w Lublinie, Zamościu, Hrubieszowie. Człowiek zdany na własne siły, na własną odpowiedzialność. Na drugi dzień 13 żołnierzy poszło, ale moi pracownicy zostali wszyscy. To już był 8 sierpnia.

Miałem tłumacza swojego, "pieriewodczyka". Taki adwokat Olędzki, który kończył uniwersytet rosyjski. Przychodzi kapitan NKWD i mniej więcej mówi tak: "Proszę pana, tu nasz generał prosi pana na biesiedu". Faktycznie był jakiś generał rosyjski w Biłgoraju. - "Jak to, do generała, ja nie jestem ubrany. Skąd mnie?" - "Niczewo, eto wojna." - "A zresztą, ja jeszcze obiadu nie jadłem. - "U nas szto niebudź jest." No i nalega. - "Ja po rosyjsku nie umiem, bez pieriewodczyka nie idę." - "No, niech idzie pieriewodczyk." Mnie się od razu coś wydało podejrzane, bo miał pas wysoko podpasany i pistolet, kabura otwarta, coś nie w porządku. Ale idziemy. Jakieś 500 metrow od starostwa była willa, którą kiedyś zajmowało Gestapo. Otoczona pięknym parkanem. I widzę koło tej willi ze trzydziestu strażników. Tak generała pilnują, czy co? Przy drzwiach wejściowych sześciu żołnierzy stoi uzbrojonych. Kapitan nas prowadzi. Willa, po schodach na górę. Na górze zostawia nas, a - patrzę - w pokoju okno zakratowane. W pokoju tylko jedno biurko, dwa krzesła. Jaki to pryjom? Mówię do Olędzkiego: "Jestem aresztowany." - "Panie, to niemożliwe. Za co?" Za chwilę wchodzi major enkawudzista z plikiem papierów, siada za biurkiem: "Pażałsta, sadieties." Ja siadam, papierosa wyciągnąłem, zapalam. On zaczyna i widzę że na środku kartki napisał "dopros". Oj, cholera! No i zaczyna mnie: "Familia,

otieczestwo, itd." - "Nie odpowiadam na żadne pytania. Co, za tyle lat pracy mam być aresztowany?!" Ten wyszedł, po chwili wrócił, przyniósł mi karteczkę. Na karteczce widzę pismo Cholewy, wojewody lubelskiego. Żeby nie przeszkadzać władzom rosyjskim, oddać się do ich dyspozycji. Taka mniej więcej była treść tego pisma. To był oryginał, napisane na takim małym wycinku papieru, ale widzę podpis Cholewa Władysław, "Paśnik". I rozpoczyna się przesłuchanie: "Gdzie jest zakopana broń, jacy ludzie?" i tak w kółko to samo. Mówię, że ludzi tu nie znam, miałem tylko organizować administrację. A ci których znam, są razem ze mną. I znowu: "Gdzie jest zakopana broń, to jest niemożliwe, że ja nie znałem, jak to?" - "Nie znałem, bo to konspiracja." Jest już ósma wieczorem, mówię: "Dalej nie odpowiadam, bo jestem głodny". No to okazuje się, że oni nie mają nic do jedzenia. Ten Olędzki mówi: "To ja pójdę, przyniosę." Dali mu dwóch bojców, poszedł z nimi a ja siedzę. Po jakichś czterdziestu minutach wraca, przynosi kanapki, herbatę, całą kolację. Jak skończyłem, znowu te same pytania. Skończyło się to o trzeciej rano. Otwiera drzwi, prowadzi mnie do następnego pokoju a tam na podłodze siedzą wszyscy moi współpracownicy: Bryła, Sokołowski, Jasielski, Czaporowski. Krzesel nie ma. Siadam i ja koło nich. O godzinie czwartej słychać warkot samochodów. Józio Sokołowski wygląda oknem, mówi: "Chyba na rozwałkę." Podjeżdżają cztery samochody ciężarowe, jeden kryty brezentem. Wychodzą żołnierze rosyjscy. Mówię: "Józiu, to na rozwałkę nie, bo za duża asysta. Jakby nas chcieli rozwalić, to w piwnicy. Za dużo ich jest." Przychodzą. Ja pierwszy, za mną moi koledzy - wychodzimy do tego samochodu krytego brezentem. Tu chciałbym powiedzieć, co to znaczy koleżeństwo. Ten szósty nie był aresztowany, nazywał się Gucio Różycki. On chyba obserwował tę willę. Jak zobaczył, że nas

prowadzą i sadzają do samochodu, wybiegł z domu i mówi: "Ja jadę razem z wami, co będzie, to będzie." Ale już ubrany w płaszcz, nawet miał coś z sobą, przygotowany. Jego nie chcą wziąć, bo na liście go nie ma. Ale ten dowódca konwoju machnął ręką: "Sadzić." Mijamy Frampol, kierunek na Janów. Minęliśmy Janów. Bali się zasadzki, więc z honorem nas wieźli. Nas było sześciu, a ich dwa samochody z przodu, dwa z tyłu, pełne bojców. Do Lublina. Koło Kraśnika postali, żeby każdy wyszedł na stronę, ale na ucieczkę nie było szans. Do Lublina na ulicę Chopina. Mnie oddzielili i wsadzili do pokoju osobnego. Olędzki nie jechał z nami, jego zwolnili.

To już jest rano 9 sierpień. O godzinie 10 dołączają do mnie dwóch kolejnych więźniów. Okazuje się, że jest to delegat z powiatu Tomaszów Lubelski Hordyj i jego zastępca, Samulak. Co jest, nikt nie wie. Nocujemy razem. Żadnych przesłuchań. Przyszedł 11 sierpień. Godzina 4 rano, wywołują. Ja wychodzę. Idę przez podworze a tam stoją samochody kryte brezentem. Dwa. Znam tych ludzi przy samochodzie, bo to z konspiracji: Wendorf i Pliszczyński z Lublina. Pliszczyński BIP prowadził, Wendorf był zastępcą wojewody przedwojennego, Tromfcourta(?) a spełniał w delegaturze rolę kierownika samorządu. Razem z naszą szóstką było siedemnaście osób. Siadać. Niemcy to wiązali, a oni nie. Ja wsiadłem pierwszy, kazano mi oprzeć się o ścianę i usiąść w rozkroku. Między nogi siadał drugi i tak rzędem. Było się unieruchomionym. Konsternacja. Ci z Lublina mówią: "Wiozą na rozwałkę", bo dwa samochody bojców, my tu w samochodzie. Ci z Lublina informują, jakie mijamy ulice. Zajeżdżamy, wychodzić. Wychodzimy - lotnisko Świdnik. Stoi samolot przygotowany. -"Oprawitsja." Każdy się odsikał i do samolotu. Nie powiedzieli nam, dokąd lecimy. Pogodny dzień, po słońcu widać, że lecimy na

południowy wschód. Mijamy dużą rzekę Dniepr. Lecieliśmy na wysokości może 700, 600 metrów. Miasto. Wendorf skończył uniwersytet w Kijowie przed I wojną światową. Przylecieliśmy do Kijowa. Lądujemy. Pod drzwiami podchodzi ten słynny "czarny woron". Jeśli się łało pół metra od tego samochodu, to się nie widziało, kto schodzi z samolotu do tego samochodu. Załadowali nas. Jazda. Zakryty wóz, nic nie widzimy. Wjechaliśmy w jakieś duże podwórce. Wychodzić. To była siedziba NKWD.

Ubikacja jest na dworze, wychodzi żołnierz: "Pożałsta, na górę." Idziemy wszyscy, tam sadzają nas przy stołach. Przychodzi kucharz, każdemu taką drewnianą łyżkę daje. Talerze, nakrycie, dają ryż na śniadanie, no i herbatę, to pamiętam. Na stole kupka tytoniu. Nieźle. Zjedliśmy. - "Pożałsta" - dalej nas prowadzą. Okazuje się łóżka przygotowane. Jak sześciu byliśmy z powiatu, zajęliśmy sześć łóżek w jednym pokoju. Były cztery pokoje, takie połączone ze sobą, nie cele. Przychodzi komandir. To byli ludzie - klasa, pamiętam jego przemówienie do nas: "Ja się nazywam Sokołowski, jestem naczelnikiem NKWD na obłaść' Kijów. Za co wy siedzicie, ja nie wiem. Jak długo będziecie siedzieć - nie wiem. Ja mam was tylko karmić, odziewać i pilnować. A resztę to wie Moskwa. I do mnie nie zwracać się z tymi pytaniami. A jak kto będzie miał jakichś wapros, no to wy jesteście tym starszym w tym obozie."- i pokazuje na mnie. Był zorientowany w naszych sprawach. Siedzimy, dyskusje, jak długo będziemy siedzieć. To ja po raz pierwszy powiedziałem tak: "Tu, kiedy mamy takie warunki, to musimy myśleć tylko, jak tu spędzić czas, bo tu możemy siedzieć trzy, cztery lata, a możemy wcale nie wrócić do kraju, bo teraz będą wprowadzać ustrój komunistyczny w Polsce. Jeśli im się to nie powiedzie, to musimy się liczyć, że zostaniemy na zawsze." To wywołało wielką dyskusję, niektórzy mówili, że to

niemożliwe.

Moi towarzysze byli ode mnie znacznie starsi. Między innymi był taki Hajsiewicz. Miał pełnić w województwie rolę takiego naczelnika. Twierdził, że aresztowano go przez pomyłkę, że już nawiązał kontakt z PKWN, że został przez nich mianowany naczelnikiem w województwie. – "Trzeba pisać, to jest pomyłka, że my tu siedzimy." – "Człowieku, nie pisz nawet." – mówię. No ale on pisze po rosyjsku cały wieczór. Na drugi dzień komendant przychodzi, wita nas, pyta jak się czujemy a ten Hajsiewicz występuje do niego z pismem. Komendant powiedział: "Wy do mnie mówcie po polsku, ja jestem Polakiem z pochodzenia. Mówię po rosyjsku, ale będziemy się rozumieć." Kiedy Hajsiewicz przystąpił do niego, założył ręce w tył: "Ja wam skazał, szto żadnych pism nie prinimajut." Już jest zadra, już coś jest nie w porządku między nami. To trwa kilka dni.

Wywołują mnie z celi. Wychodzę, na podwórku stoi łazik, przy nim ten Hordyj i Samulak, którzy do mnie do celi dołączyli w Lublinie. Sadowią nas między bojców. Jedziemy. Kierunek mniej więcej ten sam – przez most, Kreszczatik. Lotnisko. Samolot, przy nim znów ten "czarny woron". Myślałem, że przywieźli drugą grupę do Kijowa, ale: "Sadities do samolotu." Wszystkich trzech. Ja musiałem siedzieć sam w przodzie a za mną dwóch bojców. Z drugiej strony siedział Samulak z Hordyjem. Lecimy tą samą trasą. Świdnik. Na lotnisku czeka łazik. Jedziemy na ulicę Chopina. Tam stanęliśmy, za chwilę wzywają moich współtowarzyszy. Wzięli ich. Ja siedzę dalej z tymi bojcami w samochodzie. Po jakichś 40 minutach prowadzą mnie do tej samej celi, gdzie siedziałem kilkanaście dni temu. W tej celi tylko ja i bojec z karabinem. Położyłem się na tapczanie a bojec kolo mnie. Tego bojca nie zapomnę. W nocy, godzina późna, budzi mnie: "Pan, za szto ciebie

wziali?" Ja mu tam tłumaczę, jak umiem, pół na pół po rosyjsku i po polsku. - "Pan, ty niczego nie znajesz, ty nie znajesz, co może s tobój słuczitsia. Kakaja u was prepkrasnaja żizń. U was każdy łosząd' imiejet." Ja się pytam skąd on, a on jest z jakiegoś kołchozu spod Kijowa. Musiał być Kozak, bo mu sie tak konie podobały.

Rano przyniesli mi śniadanie, o dziesiątej godzinie drzwi się otwierają, wprowadzają zastępcę Cholewy. Nazywał się Poźniak, pseudonim "Tyr". Opowiedziałem, gdzie byłem. - "Ja byłem trzy dni w Moskwie, razem z Cholewą i Tumidajskim. Potem mnie przywieźli, wypuścili i dzisiaj na rynku znów aresztowali." On został ze mną w jednej celi. I teraz rozpoczynają się moje przesłuchania w Lublinie.

W dzień nic, to się rozpoczynało wieczorem. Poźniak wraca - ja na przesłuchanie, ja wracam - Poźniak na przesłuchanie. Tak to trwało chyba z pięć dni. Ciągłe te same pytania: gdzie broń, jacy są dowódcy oddziałów, jakie są ich pseudonimy, to samo w kółko. Ja wciąż, że nie znam. Za każdym razem przesłuchujący był inny. Takie przesłuchania trwały trzy, cztery godziny. Przemocy nie używano, bardzo kulturalnie się w stosunku do mnie odnosili. Wszystkie moje odpowiedzi zapisywano. Cały czas odpowiadałem, że byłem tylko od organizowania administracji, że z oddziałami bojowymi nie mam nic wspólnego. Jak wiedziałem, że Cholewa aresztowany, "Dolina", Zych, no to znałem Cholewę, "Paśnika", "Dolinę", Tumidajskiego.

Dwa razy dziennie dawali kapuśniak, kaszę, herbatę. Kontakt z innymi więźniami nie miałem. Bojec do ustępu prowadził i z ustępu.

Gdzieś 27 sierpniaprzynoszą mnie z celi na parterze na górę. Patrzę, ktoś jest. Znałem go. Chmielewski, on był delegatem rządu

na powiat Lublin. On nic nie wie, nie był ani razu przesłuchiwany. Rozmawiamy, co będzie dalej. Do końca wojny to na pewno będziemy siedzieć i nie w Polsce, tylko nas wezmą do Rosji. On był chory na owrzodzenie żołądka. Tak wieczorem, bo tapczan był jeden, mówi: "Ty się kładź na tapczan, a ja już z Rosji nie wrócę." - "Co ty za głupstwa gadasz!" - ja na to.

Trzeciego września rano wywołano mnie na podwórze. Chmielewski został. Znów samochód na podwórzu, znów 17 ludzi, w yym tylko jeden znajomy. On w miejscowości Wysokie, na terenie powiatu Kraśnik, prowadził szkołę podchorążówki leśnej. Nazywał się Tura, pseudonim "Bogdaniec". Reszta to młodzi chłopcy, tylko dwóch starszych. Znów ja pierwszy do samochodu, znów przyjazd na lotnisko, wysiadka, ładują nas do samolotu. Start. Przelatujemy Dniepr, lecimy dalej, nie do Kijowa. Koło godziny 10, czy 11 rano zbliżamy się do dużego miasta. Znów ktoś był, który znał - Charków. Łądujemy. "Czarny woron" i "sadities", ale już tylko konwojuje nas dwóch bojców. Jedziemy przez Charków daleko.

Przyjeżdżamy pod jednopiętrowy budynek, otoczony ceglany murem, wysokim na trzy metry przynajmniej. Samochód wjeżdża w bramę, wchodzimy. Ale już w oknach widzę znajomych: Cholewa, "Paśnik", Zych, "Dolina", Tumidajski z wąsatą twarzą, no znajomi już siedzą w Charkowie. Wscodzimy do góry. Segregacja. Mnie od razu do celi nr 3, do Cholewy. Drzwi nie zamknięte, tu jeszcze sprzątaczkę zmywają podłogę. Wszyscy po korytarzu mogą chodzić normalnie. Rozmowy, każdy opowiadał jakich warunkach był aresztowany. Wszyscy podekscytowani, jak długo będziemy siedzieć. No niedługo, bo za co zostaliśmy aresztowani, za co? Walczyliśmy z Niemcami. Ja mówię, że to nie jest prosta sprawa.

W sali nr 1 siedzieli "Dąbrowa", "Halka", Tumidajski, Filipkowski, Czerwiński, sami generałowie. Ze mną, w sali nr 3 -



Cholewa, "Dolina", Markiewicz i jeszcze dwóch. Spostrzegłem, że na piętrze jest 10 cel, ale zajęte są tylko numery: 1, 2, 3, 6 i 7. Czyli - będą przyjeżdżać dalej.

Było tylko jedno oczko ubikacyjne i jedna umywalka. No to będzie gorzej, jak wszyscy przyjadą. Jak później zaczęli zwozić dalej, to parter obsiadł Lwów. Z Lublina tylko Łosiński był na dole i Jaraszkiewicz.

Pierwsze dni, póki nie pomyli podłogi, wolno było chodzić z celi do celi. Potem już nie. Na posiłki góra schodziła w dwóch grupach. W mojej grupie znajdował się Wacław Modzelewski, on siedział w celi nr 7. W mojej celi był jeszcze Litwiniuk, ten późniejszy poeta, miał wtedy 17 lat. Siódmego września dowieźli do naszej celi Poźniaka. To był bardzo inteligentny człowiek, później został profesorem uniwersytetu. Bardzo mi się dobrze z nim mieszkano i rozmawiało. Tylko miał jedną wadę - palił jeszcze więcej, jak ja.

Ze mnie był ryzykant taki. Jak wracaliśmy ze śniadania, to ja wchodziłem na inną celę, na papierosa. Dostawaliśmy 20 papierosów dziennie, choć nie zawsze. Mruczał na mnie bojec, ale później wychodziłem w ubornu i tak jakoś się udawało.

W jesieni zrobiliśmy głodówkę. No bo siedzimy, nic się nie dzieje. Pretekstem stał się sposób wydawania posiłków. Chcieliśmy, żeby wydawano oddzielne porcje, to co się każdemu należy. Każdemu przysługiwała porcja 400 g chleba białego i 400 g czarnego. Chodziło też o cukier - żeby nie słodzili herbaty od razu, tylko wydawali każdemu jego porcję.

Główną przyczyną było rosnące zniecierpliwienie. Nikt z nami się nie kontaktował, nikt z nami nie rozmawiał. Uzgodniliśmy, jak to ma się odbyć. Siedział między nami Romaniński, on był komendantem AK Puławy - Wschód. Zawodowy oficer, mocno wybuchowy.

On miał rozpocząć. Potem miała przystąpić do akcji sala nr 2, bo była najliczniejsza (14 osób) a potem reszta.

Poszliśmy na śniadanie, rozpoczynamy. Romaniacki zaczyna tych Rosjan kląć ile wlezie, rzuca talerzem o ścianę, wszyscy podnoszą krzki, wychodzimy. Przybiegł komendant. Na rozmowę poszedł najstarszy wiekiem Bitner, pseudonom "Halka". Jako drugi Poźniak, bo on rosyjskim władał cudownie, żaden Rosjanin tak po literacku nie mówił, jak on.

Nasze pretensje dotyczyły także usługującej przy posiłkach Żydóweczki. Grzeczna była, ale w jej postępowaniu było coś prowokującego. (Te dziewczyny w większości były więźniarkami z armii Własowa, ale ta akurat była z wolności.) Komendant pyta, czego chcemy. No więc mu wytłumaczyli: chcemy łączność z celi do celi, chcemy książek, chcemy pisać listy do domu, bo każdy przepadł jak kamień w wodę. Uczyć się chcemy. Ten komendant odpowiedział: "Normę dla was mam wyznaczoną; macie normę generalska, jedenastą grupę. Co mogę zrobić?" Jesienią większość zaczęła chorować na kurzą ślepotę i szerzył się szkorbut, więc żądaliśmy cebuli i owoców. Ten komendant (był w stopniu majora) dosyć ludzko podszedł do naszych żądań i powiedział: "Chleb będziecie dostawać w porcjach, cukier tak jak chcecie, co będę mógł z owoców, to wam dam. Korespondencji z domem nie wolno. Z celi do celi można chodzić, ale nie grupowo. I tę Żydóweczkę się wyrzuci." Tośmy uzyskali po pierwszej głodówce.

Zaczyna się samokształcenie w obozie, nauka języków. Znalazły się trzy grupy, które się uczyły po rosyjsku. Pierwszą, z sal nr 1, 3 i 6, prowadził Poźniak, który wykładał cudownie. Później było dwóch braci Iwaszkiewiczów, stryjeczni bracia tego pisarza, którzy też kończyli uniwersytet w Rosji. Uczyli swoją salę nr 8 oraz 7 i inne. Salę nr 2 wziął Mańkowski, on miał pełnić w

delegaturze rolę policjanta politycznego. Nie było zeszytów. Trzej nasi chłopcy, którzy wychodzili rąbać drewno na podwórzu, zaczęli znosić takie małe deseczki, wygładziliśmy je szkłem i można było na nich pisać. Ołówki dostarczył komendant obozu. Doktor Danielski z sali nr 7 podjął się nauki języka angielskiego. Prowadził wykłady u siebie i u nas, w trójce. Do nas dochodziło dwóch generałów na naukę angielskiego.

Zaczęliśmy wydawać pismo "Semper fidelis". Papieru nie ma, więc wykorzystywaliśmy opakowania od tytoniu. Każdy kto potrafił, pisał artykuły do tej gazetki. Najlepszym redaktorem był "Żegota" - Szturmberg von Richter. On najpierw napisał taki wiersz pod tytułem "Zwierzyniec", gdzie nas pokazał, jako zwierzęta w klatce zamknięte. Później Litwiniuk, radiotelegrafista. Pisał poezje, tłumaczył z rosyjskiego. To było zakonspirowane, tylko kilka osób wiedziało, kto był głównym redaktorem. Pisało się w jednym egzemplarzu, potem z celi do celi to wędrowało. Czasem ktoś znalazł wycinek jakiejś gazety i te artykuły wykorzystywało się w gazetce. Niektórzy mówili, że to z nasłuchu radiowego, że ktoś ma zakonspirowane radio, ale to nieprawda.

Rosjanie nie przeszkadzali nam w tej działalności samokształceniowej. Żabicki z oddziału Zapory pożyczył od Rosjan trzy książki: "Gieroj naszego wremieni" Lermontowa, podręcznik do 6 klasy gimnazjalnej z literatury i "Trio muszkietera", Dumasa. O dziwo, znalazł się "Ben Hur" w przekładzie na język polski. Te książki krążyły po obozie.

Do korespondencji nie mieliśmy prawa, szkolenia politycznego Rosjanie nie prowadzili. Zostawili nas samym sobie. Obsługa była grzeczna, choć czasami się od nas nasłuchali. Bo to ktoś stuka do drzwi, chce do uborny, a tam zamknięte, na korytarzu zaś bez przerwy chodzi bojec. Ile ci chłopcy, czy nawet ja, nakłębiliśmy

tym Rosjanom w żywe oczy! Żaden słowa nie powiedział. Jeden tylko: "Wsio gawarycie, tolko po matuszkie nie.", bo tam: "Job twoju mać!" było na porządku dziennym.

Niewiele wiedzieliśmy, co się na zewnątrz dzieje. Kiedyś podrzucili nam do ustępu "Prawdę" z artykułem o procesie Okulickiego.

W naszej sali zachorował Markiewicz. (On był mianowany na komendanta policji przy delegaturze na województwo, bo to był major policji granatowej sprzed wojny. Miał pełnić obowiązki komendanta na województwo Lublin.) Pewnego razu wracam wieczorem z papierosa do celi, wszyscy siedzą skuleni a Markiewicz chodzi po sali. Pytam: "Co się stało?" - "Cicho, bo on nas już wszystkich nabił." A ten Markiewicz był ode mnie o głowę wyższy, to był kawał mężczyzny. - "Markiewicz, siadaj!" usiadł i mówi: "ty Belzebubie!" To była przykra sprawa. Trzeba było starszyne zawołać, tego co zawiadywał całą strażą, enkawudzistę. Bojec pyta: "Po co?" Ja mówię: "Markiewicz z uma zaszol, nada jego e bolnicu." Przyprowadził tego starszyne. Ten otwiera drzwi, ja wychodzę z celi razem z Doliną, (Dolina twardo się trzymał, później uciekł do Anglii, był dyrektorem biblioteki w Nowym Jorku. Prawnik, został asystentem prawa międzynarodowego i tam w Ameryce zrobił karierę.) wychodzi Markiewicz. I ten starszyna do niego: "Markiewicz, szto z wami?" A Markiewicz, jak się zamachnie ręką, jak go uderzy w twarz ! Ten się przewrócił, czapka mu spadła, ani słowa nie powiedział, tylko: "No, nawierno z uma zaszol." Podziwiam wychowanie tych enkawudzistów. Myśmy poszli do celi, za dwie godziny przyjechali, Markiewicz wzięli. Po tygodniu wrócił, ale leczyli go biciem. Bili go na leczeniu. Pobył z nami jeszcze trochę, nastąpił nawrót choroby. Znów go wzięli i dopiero na trzy dni przed naszym wyjazdem z Charkowa go przywieźli.

Mówił, że bili okropnie. Oko mu w więzieniu wybili, jak go leczyli.

W Charkowie zmarł na serce Jan Gołąb z powiatu Lublin. Pamiętam, nawet do południa byłem u niego. Leżał, nie palił już papierosów, dał mi swój tytoń, porozmawiałem z nim. Wieczorem stuk do drzwi: "Gołąb nie żyje!" Wynieśli go na pewno w dół gdzieś i rzucili na obcej ziemi.

Odbываły się badania lekarskie, nawet dostaliśmy zastrzyki, przeciwtyfusowe bodajże. Było u nas trzech lekarzy: Danielski z Lublina, drugi z Białegostoku i Bazan z Lwowa.

Jak kogoś zabolaly zęby, to prowadzili do polikliniki. Dentystka nazywała się Kłodnicka; ona mówiła, że jej ojciec był Polakiem, matka Francuzką, ale po polsku nie umiała ani słowa. Jak plombowała czy usuwała ząb, to przygotowywała wycinki z gazet, zawijała w tampon i do ust wtykała. To nieprawdopodobne. Pamiętam z nią rozmowę. Zęby mnie rozbolaly w przeddzień rocznicy rewolucji wielkiej, byłem ostatni. Mówię: "No siewodnia budzicie gulać, madam. Bo u was dzisiaj balszój prazdnik." A ona mi odpowiada: "Na etot prazdnik nada dadzieć traunuju płatio." "Na to święto należy ubrać żalobną suknię." To nieprawda, że ludność całkowicie była zaślepiona, takie powiedzenie, to się liczy.

Wiosną 1945 roku dwóch młodych chłopców powiada, że będą uciekać. No to co zrobić? Trzeba żeby wychodzili na dwór rąbać drewno z tymi trzema: Koconiem, Żabickim i Mieleszczukiem. Dołączyli do nich, jeden nazywał się Łużycku, drugi Zarzycki.

W sali nr 1 wszyscy o tym wiedzieli, w sali nr 3 Poźniak, Dolina i ja. Czy reszta się domyślała, tego nie mogę powiedzieć.

Każdy z nas oddał po dwie porcje cukru i chleba, żeby ususzyli sobie suchary. Dostaliśmy takie onuce flanelowe, daliśmy im, no i poszli w pięciu na podwórze rąbać to drewno. Okna z sali

nr 2 wychodziły na podwórze, więc stoję obok okna i czekam, co będzie. Około godziny 10 wychodzi Kocoń, podnosi rękę do góry. Poszli.

Pora na obiad, tych brakuje. Ruch, straż w koło biega. Klną ci bojcy, nie ma dwóch. Żabicki mówi: "No udrali, job ich mać, udrali sukinsyny! A my nic nie wiemy." Ta trójka im pomogła, bo zamaskowała to wejście, którym oni wyszli. To podwórze wychodziło na jakieś ogrody. Oni w te ogrody poszli i mieli do stacji jakoś dojść i jechać. Oczywiście do Polski.

Czekamy wszyscy, mija dzień, drugi, trzeci. Już liczymy, że na pewno w Polsce są. Czwartego dnia przywożą ich obu. Okazało się, że doszli do stacji w Charkowie i wsiedli w pociąg, który idzie na Kijów. I w Połtawie - widocznie telefony poszły - ich aresztowali i z powrotem dostarczyli do nas. (Opowiadam relację Łużyckiego.) Jak siedzieli w Połtawie, to zaczęli wieczorem ze sobą rozmawiać, a po 22 godzinie nie wolno. Przyszedł tamtejszy komendant i mówi: "Job waszu mać, dla was odboja niet?" i ich poszturchał trochę. Ale poza tym nic im nie zrobiono. Siedzieli z nami w obozie i w roku 1946 razem wyjechaliśmy do Riazania.

Była grupa chyba sześciu osób z pułkownikiem Podgórskim na czele, tak zwanego PAL-u, takiej organizacji, która nie podporządkowała się AK. Oni przyjechali z Warszawy na Lubelszczyznę i zgłosili się do Sowietów, żeby tu organizować wojsko polskie razem z Sowietami. Sowietci ich potraktowali tak, jak nas. Był Podgórski, Rost, jeden Żyd - Bilewicz, Wojciechowski. Innych nazwisk nie pamiętam. Między nimi a naszą grupą wytworzył się pewien antagonizm, bo to byli ludzie nie odpowiadający nam ani światopoglądowo, ani ideowo.

Poza tym zdarzały się kłótnie, jak zwykle w życiu zbiorowym. Na przykład pewnego razu "Tur" poszedł do sali nr 1 na papierosa,

pogadać sobie z generałami. W tej sali przebywał również pułkownik Suszczyński, który miał być mianowany dowódcą 8 Dywizji AK w tej rzeczywistej Polsce, on był komendantem obszaru Warszawa - Wschód. Pokłócili się. Obydwaj oficerowie zawodowi, więc sprawa honorowa i musiałem być sekundantem tego "Tury". Pułkownik Czerwiński, komendant okręgu Lwów, był sekundantem Suszczyńskiego. Ile myśmy się napracowali, żeby to wszystko załagodzić! Takie antagonizmy, animozje, to się zawsze zdarzają, ale na ogół nie było scysji, choć izolacja coraz bardziej dawała się we znaki. Nie dostawaliśmy gazet, nie wiedzieliśmy, co się na świecie dzieje. Wielu zżerał niepokój o rodzinę.

9 maja - zakończenie wojny. Tego momentu nie zapomnę. Wieczorem nad Charkowem widać rakiety, słysząc wystrzały. - "Wojna się skończyła." - mówię. Patrzymy wszyscy, za chwilę starszyna biegnie i krzyczy: "Wajna okończyłaś!" Wtedy trzy dni tytoniu nie dawali. Okno było otwarte, wychyłam się z tego okna i wołam: "Starszyna, job waszu mać, czort z wajnoj, tabaku niet!" - "Zawtra budiet." - odkrzyknął.

No, wojna skończona. "Tur" zrobił się komendantem sali jako najstarszy, chłopaków na baczność postawił, słyszę: "Jeszcze Polska nie zginęła..." Dyskusja, co będzie dalej. Wyjdziemy? Ja mówię: "Dobrze, dobrze, jak wprowadzą komunizm w Polsce, to wyjdziemy." No i tak się skończyło, jak mówiłem.

Zbliża się Boże Narodzenie, rok 1945. Żegota napisał jasełkę. Chłopaków zebrał, nauczyl się ról, był i Herod i Hitler. Na przedstawienie najbardziej nadawała się sala nr 2, bo największa. Taki cichociemny z Wiskoczy koło Kościana, "Gzyms" - Pukacki zrobił dekorację. Nawet Żegota poszedł i porosił komentanta obozu na to przedstawienie. Odbyły się te jasełka, jak na obozowe warunki, cudownie. Ci młodszy chłopcy odegrali doskonale swje

role. Jak dużo znaczy mieć w niewoli zajęcie. Tak zeszło Boże Narodzenie.

Ja wtedy lubiłem zachodzić do sali nr 8, bo tam jeden z braci Iwaszkiewiczów to koniarz był, rotmistrz kawalerii, chyba najlepszy koniarz w polskiej armii przedwojennej a poza tym kawalarz. Każdy pobyt musiał się skończyć pogadanką o koniach. Ci Iwaszkiewiczze potrafili wspaniale kląć po rosyjsku.

Pewnego razu siedzę tam, godzina po obiedzie, wchodzi starszyna: "Wsie do komnat! Zdawać wieszczy." Zdaliśmy. Wydają suchy prowiant: puszkę tuszonki, cukier, herbatę, suchary. Wyjazd. To było święto prawosławne, Jordan. -"Wychodzić wszyscy!"

Najpierw wyszedł dół, później połowa piętra, potem reszta. Każda grupa oddzielnie, ja byłem w tej ostatniej. Przemarsz przez miasto, dokąd - nikt nie wie. Pieszko do stacji, konwój ostry. Nasza grupa liczyła 33 osoby, 12 bojców nas prowadziło.

Przychodzimy na stację, na bocznicę już gwar, stoją więźniarki. Lepiej tego nigdy nie widzieć, tak zwane "stołypinki". Każdy wagon ma jedno wejście, przegrodzony wzdłuż kratą żelazną. Między ścianą a kratą jest tylko przejście i tym przejściem chodzi bojec. Nie ma drzwi do przedziałów, tylko jest krata. Bojec wszystko widzi, co się dzieje w środku.

Wchodzimy do tych przedziałów. Pełno napisów i dat ołówkiem: rok 1937, 38, 39, 40, 41, podpisy. Ja myślę: "No teraz idziemy na rozwałkę!" Nie ma mowy o ucieczce ani o obronie. Jest się jak w klatce, jak niemowlę w pieluchach. Siedliśmy. Nie powie człowiek głośno, że chyba na rozwałkę, bo to się udziela ludziom.

Jedziemy. Na wschód i na północny wschód. Penza. W Penzie stoimy dzień, czy dwa. Skręcamy, ale widzę, że korytarzem przechodzi - enkawudziści do pracy się nie spieszyli - sprzątaczką, tak patrzy na nas litościwie. Rozglądam się, nikogo



nie ma. Pytam tak bezgłośnie: "Kuda jedziom?"- przez tę kratę. Zrozumiała i poznokciem na oszronionej szybie napisała: Rianzań. Jak zobaczyła, że przeczytałem, chuchnęła, starła i już jej nie było.

Cały Charków jechał tym pociągiem. Jazda trwała 7 albo 8 dni. W czasie postojów dawano nam kipiatak. Dojechaliśmy do Riazania.

Pieszko szliśmy z dworca kolejowego jakieś trzy kilometry. Wchodzimy do baraku, a tam brud, nary, pluskwy, smród ! Pluskwy to takimi zwalami chodziły. (Jak się później dowiedzieliśmy, tam stacjonował przed I wojną światową pułk kawalerii rosyjskiej. Później co było - nie wiadomo, chyba jakieś wojska stały.) Ten teren zajmował jakieś 6 ha, ogrodzone podwójnym drutem, wieżyczki na każdym rogu i w środku. Baraki drewniane, śnieg przewiewa przez okna.

Przychodzą od razu ludzie, zobaczyć kto przyjechał. Okazuje się, że z Biłgoraja znajomi. Jest Bielecki, szef wywiadu AK na Biłgoraj, pseudonim "Wyżeł", Kochmański, Steliga - nauczyciel z Potoka Górnego. Pięciu z moich stron. Poznali mnie, no to powitanie. Oni tam byli już rok, czy dwa.

Zorganizowali mi wszystko: łyżkę, miskę do jedzenia, napchany słomą siennik. Zamietliśmy salę - śmierdzi, jedzenie - kapusta zgnięła. W Charkowie to był raj! A tu... Ale za to wolno chodzić po całym obozie. Możesz robić, co ci się podoba.

Obóz liczył wtedy około 900 oficerów AK. (Razem z nami trzymano tu kilkunastu takich, co współpracowali z Niemcami.) Przybywają nowi koledzy, opowiadają jak jest, jaka organizacja. Jest już komendant polski, nazywał się Sielicki. Oprócz tego był Rosjanin, ale on się nie wtrącał do wewnętrznych spraw.

Zająłem narę razem z Cholewą, Chmielewskim i Doliną. Barak - na 120 albo 150 osób. Były trzy nawy i takie słupki, żeby było

mocniej. Żadnych przepierzeń, tylko korytarz i nic więcej. Żadnych instalacji sanitarnych. Latryna - normalny rów wykopany i drążek nad nim. Warunki straszne, ale za to jest swoboda. Nawet ruletkę zrobili ci oficerowie, co tam już byli. Samokształcenie, profesorów kilku.

Zawieram znajomości. Chyba za siedem dni przyjeżdża nowa grupa. Patrząc: Kijów - moi koledzy, co zostali ze mną zamknięci w Biłgoraju. Przyjaciele moi, tyle lat pracowaliśmy razem. Wszyscy zdrowi. Umieszczają ich w innym baraku. Zabrałem swój siennik i poszedłem do nich. A na moje miejsce przyszedł Trendota, on był delegatem na powiat Chełm Lubelski. Baraków było sześć albo siedem, nie powiem na pewno. Ja przeniosłem się z Doliną i Posadymem do baraku nr 1 razem z Biłgorajakami i to była oficerska kompania pierwsza. Jej komendantem został sławny obozowicz Riazania, kapitan Kozakiewicz. Codziennie na apelu musiał składać meldunki Rosjanom.

Z komendantem rosyjskim nie miałem do czynienia i nazwiska nie znam. Po terenie bojący się nie kręcili, tylko w komendzie był politruk. Załoga liczyła nie więcej, jak 30 osób. Oni zajmowali oddzielny barak, pilnowali na zewnątrz drutów, no i stali na tych bocianach. Robili od czasu do czasu tak zwany "obisk" i szukali, czy nie ma narzędzi albo innych śladów wskazujących na przygotowanie ucieczki.

Każdy barak wybierał swojego komendanta. On odpowiadał za stan osobowy, pilnował podziału żywności, składał meldunki. Kompania - barak dzieliła się znów na plutony i każdy pluton miał swojego "chleboreza", który pobierał porcje żywności. To się dzieliło już na baraku, tylko oficerowie mieli swoją stołówkę. W gestii komendanta było organizowanie ochotniczych brygad roboczych: piekarzy, krawców, tych co wywozili latryny i obsługi

stołówki oficerskiej. Poza tym były dwie brygady, które wychodziły na miasto do pracy. Oni dużo dobrego robili, bo wynosili na sprzedaż, co mieliśmy, przynosili, co trzeba było i jako taką łączność z ludźmi mieli.

Część pracowała w elewatorze zbożowym. Ci byli najbardziej poszukiwani, bo oni w kieszeniach przynosili zboże. W obozie "stakan" - szklanka zboża kosztowała 5 rubli. Kto umiał, gotował tak zwaną "bałandę". Jaka jest etymologia tego wyrazu, nie wiem. Najlepsza bałanda była ze startej pszenicy, bo jak się ją zalało gotującą wodą i potrzymano na ogniu, to ze szklanki się robił cały garnek. Tym dożywialiśmy się.

Poza tym była giełda obozowa. Paczka papierosów - 5 rubli, pół porcji chleba - 5 rubli. Niektórzy poprzywozili pieniądze ze sobą, ja tylko byłem bez niczego. Podgórski, ten z PAL-u, to miał kilogram złota ze sobą. Pułkownik Czerwiński, dowódca okręgu Lwów, miał w depozycie 6000 rubli. Skąd się pieniądze w obozie brały, nie wiem. W każdym razie handel szedł. Porcja cukru - 5 rubli. Tam byli tacy, którzy kupowali złote monety, jak ktoś sprzedawał na jedzenie. Tylko takich jak ja głupich było kilku, którzy jeszcze za papierosy dawali chleb. Ja pół porcji chleba dziennie za papierosy dawałem...

Dużo ludzi się wzięło za samokształcenie. Zorganizowaliśmy trzy kursy rolnicze. Ten który je prowadził, został po wojnie profesorem na SGPiS w Warszawie. Był z nami również późniejszy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był jeden nauczycielski kurs wyższy, próbowaliśmy zorganizować tak zwany uniwersytet latający, ale to nie chwyciło.

Bardzo dużo osób zajmowało się majsterkowaniem. Ci którzy wychodzili do pracy, na rynku sprzedawali ich wyroby. Za młynek do mielenia kawy Rosjanie płacili na owe czasy 50 rubli.

Te brygady, które wychodziły na zewnątrz, miały łączność z ludźmi z zewnątrz.. Listy wyrzucali do Polski, robili dużo dobrego, ale to byli ludzie, którzy poszli na współpracę z NKWD, to nie ulega wątpliwości. Oni donosili, co koledzy mówią. Byle kto nie mógł dostać pozwolenia na pracę na zewnątrz obozu.

Jak przyszliśmy, nikomu z nas nie proponowali współpracy, ale już był zawiązany tak zwany "Demokratyczny Krużok". Należało do niego około 200 osób z terenu obozu. Ci co się zapisali do tego krużoka, to jakieś kontakty z NKWD musieli mieć, bo jak 22 czerwca 1947 roku zrobiliśmy głodówkę całego obozu, to oni nie przystąpili. Niektórych pamiętam: jeden z gupy kijowskiej, Pliszczyński, Podgórski. Oni mówili, że w Polsce wszystko było źle, że oni są demokratami, a my wszystko to czarna reakcja. Dołączył do nich Litwiniuk. Jego matka była w Riazaniu już wcześniej. Lekarka - wyleczyła nawet jakiegoś rosyjskiego generała. Zwolniono ją jeszcze przed naszym przybyciem. Litwiniuk wiedział, że matka stara się o jego zwolnienie, więc zachowywał się ostrożnie. I rzeczywiście - w kwietniu albo w maju 1946 roku zwolniono go do domu.

W Charkowie co miesiąc wyjeżdżaliśmy do łaźni, tu zaś była tak zwana "wszabojnia", gdzie raz w miesiącu zbierali odzież, wsuwali do komory i parą gorącą zabijali insekty. Łaźni jako takiej nie było, tylko każdy we własnym zakresie trochę się pomył. Najgorzej było z pluskwami. Jeden z kolegów to Zamek Warszawski z tych pluskw wymalował na ścianie! Takie mnóstwo, że jak przychodziło lato, to ja nie spałem w baraku, tylko wychodziłem na dwór. A zimą starałem się grać w szachy, w brydża do rana a spać w dzień, żeby to nie gryzło. Kto tego nie przechodził, to nie ma pojęcia, co to znaczy pluskwa.

Naczelnym lekarzem był Żyd z 27 dywizji, Ałapin. W czasie

kospiracji używał nazwiska Kwiatkowski. Jego zastępca, człowiek - marzenie, dr Paczkowski, zajmował się apteką. Cichociemny, pseudonim "Wania"; jego całe życie to wielka przygoda. Cudowny człowiek. Byli jeszcze: Danielski - doktor z Białegostoku, jeden lekarz z Lwowa i jeszcze jeden z Tomaszowa Lubelskiego. Nazwisk nie pamiętam.

Kiedy zachorował Chmielewski, ten lekarz z Tomaszowa chciał go operować, ale nie miał żadnych narzędzi. Wyostrzył noże kuchenne; Chmielewski się nie zgodził na taką operację i zmarł na to owrzodzenie żołądka. Umarł w lutym 1947 roku. Poszliśmy wtedy z Trendotą i Julianem Czubą do politruka i zażądaliśmy, żeby pozwolili trumnę zrobić dla niego i że my sami go pochowamy. Pozwolił, dał nam na obstawę bojca. W ośmiu zaprzęgliśmy się do sań... Tam na polu były wykopane jesienią jamy, do których wrzucano trupy ze znajdującego się nieopodal obozu niemieckiego. Krzyż nasi zespawali z drutu, wzięliśmy ze sobą oskardy, łopaty i przez pole zawieźliśmy Chmielewskiego na wieczny spoczynek. Pociągnęliśmy te sanki z trumną, pogłęбилиśmy tę jamę... Tego się wypowiedzieć nie da, to trzeba przeżyć.

Na ogół chorowano na dezynterię. Szkorbut należał do rzadkości. Trzeba powiedzieć, że w Riazaniu - mimo tych trudnych warunków - ta swoboda chodzenia po całym obozie robiła swoje. Jak było lato, to myśmy uprawiali tak zwaną grę w "gorodki". Celował w tym gen. Świtalski. Ustawiało się klocki, rzucało palantem i te klocki się wybijało. Zawsze zbierało się kilka grup: oficerowie wyżsi z niższymi, administracja z oficerami, itd. Tym palantem trzeba było rzucić na kilkanaście metrów, to swoje robiło.

Politruk się nie naprzykrzał, za to zorganizowano zespół artystyczny. Kierownikiem tego był Damrosz; po powrocie został dyrektorem orkiestry radia i telewizji w Gdańsku. Wtedy bardzo

młody, ale miał słuch wyjątkowy.

Ten zespół organizował pieśni, wieczorki. Raz byłem na tym i więcej nie poszedłem. To była impreza na imieniny Stalina. Bo tam w obozie była grupa Rosjan, którzy zostali przywiezieni z Austrii. Dzieci białogwardzistów, którzy uciekli po pierwszej wojnie. Artyści, niektórzy ponoć nawet w La Scali występowali. Podeszli ich Sowietci, że ich zaangażują do teatru w Moskwie; każdemu bali plan, jakie mieszkanie w Moskwie dostanie. Po kilku dniach wylądowali w Riazaniu. Dostali osobny barak. Nawet dwa małżeństwa były, dwoje dzieci z nimi razem. Pamiętam, jak zaczęli pieć na cześć Stalina kantaty. Śpiewali pierwszorzędnie, ale to im nic nie pomogło. Myśmy z Riazania wyjechali a oni zostali.

Za to z nami z Charkowa przyjechali Chabela i Turoski. To byli muzycy! Popisali nuty, odtworzyli z pamięci i zrobili w Riazaniu chór. To było na bardzo wysokim poziomie. Ci ludzie integrowali cały obóz.

A co niedziela odprawiano mszę. Gdy w lecie na dworze była msza, to Rosjanie z Riazania wchodzili na drzewa i oglądali z daleka, jak to się u nas odbywa nabożeństwo w obozie.

Było trzech księży. Pierwszy to niezapomniany ksiądz Dziunio z Lwowa. Franciszkanin, patriota. Używał nazwiska Kapalski, w rzeczywistości nazywał się Kierski. W obozie początkowo nazywano go Kapala. Był jeszcze ksiądz Zupko, który po powrocie zrobił się księdzem - patriotą i ksiądz Piotrowski, kapelan wojskowy. Oni odprawiali nabożeństwa. Nasi wyrzeźbili ołtarz, zrobili naczynia liturgiczne.

Mnie najbardziej imponował ksiądz Dziunio. Kiedy się rozniosło, że jest u nas ksiądz, kobieta z córką dwunastoletnią dwieście kilometrów pieszo przysłała. On przez druty je wypowiedał, udzielił sakramentu komunii. I ja nie zapomnę, jak

on wracał. - "Skąd wracasz?" - spytałem i zobaczyłem jego oczy. To były oczy człowieka nieprzytomnego, to była ekstaza!

Dla mnie, po tylu latach nawet, to jest postać niezapomniana. Tylko ja go ciągle widzę jako obozowicza, w tamtym wieku. Wiem, że wrócił do Lwowa i we Lwowie został proboszczem. Powiedział, że dopóki żyje, stamtąd się nie ruszy. To był wzór patrioty.

Sporo było indywidualności. Na przykład Stebelski, mesjanista. On wierzył, że Polska jest narodem wybranym, ma spełnić rolę specjalną. My jesteśmy skazani, bo Bóg nas chce wypróbować. On codziennie rano różaniec odprawiał. Wiara - to dużo znaczy. To był historyk przed wojną, po powrocie wykładał w seminarium duchownym w Przemyślu. Spotkałem go kiedyś w Poznaniu.

Żegota - Richter von Szturmkerk też swoją rolę spełniał. Moim zdaniem to od niego wyżej intelektualnie stał może dowódca okręgu Wilno, Krzyżanowski. Także profesorowie byli ludźmi, którzy w obozie coś znaczyli.

Nie będę mówił o sobie, ale wszędzie tam, gdzie trzeba było coś zrobić, gdzie było gorąco, to zawsze byłem. Ale żebym specjalną misję spełniał w obozie, to nie. W karty grałem, w szachy grałem, starałem się spędzać to życie obozowe. W każdym bądź razie złego zdania nikt o mnie nie miał, tyle mogę powiedzieć. Dobrego wiele nie zrobiłem. Może ten niezapomniany pogrzeb Chmielewskiego...

22 czerwca 1947 roku doszło do głodówki. Siedzimy, siedzimy, jak długo będziemy siedzieć? Zapada decyzja - głodówka. Wpierw należało ustalić, kto będzie starszym w każdym baraku i jak to przeprowadzimy. Należało uważać, żeby ktoś nie doniósł do władz rosyjskich.

Przy tej grze w "gorodki" ustaliliśmy, kto będzie komendantem baraku, kto łącznikiem a decyzję pozostawiliśmy Bitnerowi.

Świtalskiemu, Cholewie i Poźniakowi. Uzgodniliśmy, że nie pójdziemy na śniadanie do jadalni a podoficerowie, którzy jadali przecież w barakach, poradzą sobie inaczej.

Rano, niosą kotły ze śniadaniem. Podbiegli Jaś Kocoń i Żabicki, przewrócili te kotły, jedzenie wylali. Oficerowie wyszli z baraków, zaczęły się krzyki. Głodówka.

Od razu rozmowy, ale to nic nie daje. Stawiamy warunki: chcemy wiedzieć za co siedzimy - albo sprawa, albo do domu. Enkawudziści chodzili po barakach i rozmawiali z nami. Z naszej strony mówili ci, którzy umieli po rosyjsku.

Jeden dzień schodzi, drugi, trzeci. Czwartego dnia Rosjanie wprowadzili ekipy i zaczęli karmić ludzi sondami. Przemocą. Jak włożyli sondę Tumidajskiewmu, przebili żołądek. Zapalenie otrzewnej. Odwieźli go do szpitala, ale tam zmarł.

Jedzenia nawieźli, kusili. Ci z "demokraczeskiego krużka" nie głodowali, to dwóch zmarło z przejedzenia, a wielu się pochorowało. (Część tego jedzenia była zepsuta podobno.)

Kto mówił, że dziewięć dni głodował, dziesięć, to proszę w to nie wierzyć. Czwartego dnia wieczorem, to już połowa leżała, z prycz już się nie mogła ruszyć; niektórym nogi popuchły. Ja chodziłem, bo dzięki temu że dużo paliłem papierosów, byłem szczupły. Szczupli lepiej przechodzą głodówkę, jak tędzy.

Szóstego dnia, pamiętam, przyjechał z Moskwy generał. -"Ja wam czestnoje słowo ruskowo generała daję, czto za nieskolko dniej ujeżdżacie na rodinu!" Przerwaliśmy tego dnia głodówkę. Trzeba przyznać, że zadbali o nas wtedy. Zastosowali dietę: herbata z mlekiem, ryż na mleku, suchary. Trzy dni takie lekkie jedzenie nam dawali. Zmarł tylko gen. Tumidajski i dwóch z "demokraczeskowo krużka".

Zaczynają powiadać, że tam u politruka grupują dokumenty.



Każdy już liczy, ile do domu. Przecież "czesnoje słowo ruskowo generała". Zszedł tydzień, drugi schodzi. I chyba 20 lipca na apelu wyczytują listę 120 osób. Na tej liście był Świtalski, Bitner, Filipkowski, Czerwiński, Krzyżanowski, Żegota, Cholewa, Poźniak, ja, Modzelewski też. - "Wszyscy wyczytani jadą do domu." Jak ja zobaczyłem kto jest na tej liście, to już wiedziałem, że nie do domu a do drugiego obozu.

Zaprowadzili nas na stację, po trzydziestu do wagonu. Cztery wagony: bydłece, w rogu otwór wycięty, podłoga i koniec. Wejście obili deskami. Suchy pajok każdy dostał. Rusza wieczorem pociąg.

Jeden miał busolę Besarda ze sobą, przykładał do drzwi. - "No na zachód jedziemy. Do Moskwy, do domu." - powiada. Gdzie tam do domu - myślę sobie - cała grupa ludzi, z których każdy sobą coś reprezentuje. Ale dojeżdżamy - Moskwa. Z jednego dworca przetaczają na drugi. Moskwa to jest ogrom, nie wiem ile tam jest dworców. Dwa dni stoimy i tak nas przerzucają. Trzeciego dnia ruszamy. Busola pokazuje na północ. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć: "Linia na Białystok jest zawalona, bo idą transporty wojskowe, to pojedziemy na Wilno". Ja już się tylko śmiałem.

Ale pociąg sunie na północ. Nareszcie widzimy napis - Wołogda. Postój, wolno wyjść, oczywiście pod konwojem. Patrząc - dwa wagony odczepili i skierowali na drugi tor. A nasze dwa "oficerskie" zostały. W mojej grupie byli wszyscy dowódcy AK: Krzyżanowski, Bitner, Świtalski, Żegota, Cholewa, ci wszyscy bardziej znaczący. Reszta - jak się później okazało - pojechała do Czerepowca.

Postaliśmy całą dobę w Wołogdzie. Wieczorem odjechaliśmy parę kilometrów, w takim lesie stanęliśmy. Tam po raz pierwszy zobaczyłem białe noce. To jest rzecz cudowna, ale niepokój budzi w człowieku. Rano ruszyliśmy dalej. Te nasze dwa wagony doczepili

do jakiegoś zestawu. Wreszcie: "Wysiadać!". Czekają na nas konwoje. Przyszła i otoczyła naszą sześćdziesiątkę grupa jakichś stu dwudziestu, takie wyrostki od szesnastu do osiemnastu lat. Z bagnietami. I tylko: "Nie razgarywat'. Strilat' budu!". Na przodzie trzech oficerów NKWD z psami i tak nas prowadzą.

Doprowadzili jakieś trzy kilometry. Obóz. Napis - "Griazowiec". Przechodzimy wartownię, a w środku: Niemcy, Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Rumuni, Bułgarzy, Jugosłowianie, kogo tylko się chciało.

Dali nam barak w środku, osobny. Obsługiwali nas Niemcy, myśmy tylko zrobili porządki wewnątrz baraku. Niemcy gotowali, przynosili posiłki. Muszę powiedzieć, że administrowali wspaniale, bo to była administracja czysto niemiecka.

Na trzeci dzień Krzyżanowski ze swoim adiutantem Mackiewiczem zwiali. To było niespodziewane, nikt tam nie próbował uciekać. Po tej głodówce na ogół frustracja, załamanie. Białe noce się skończyły, przyszły zorze polarne. Wspaniały widok, ale każdy z nas załamany, rozmawiamy co będzie dalej. O pracy nie było nawet mowy. Kiedyś przyjechał sledowaciel, pytał co wiem o wydarzeniach w kraju. Ale nic nie wiedziałem. Poza tym nie było żadnych przesłuchań, nawet po ucieczce Krzyżanowskiego.

Jeśli ktoś znał język, no to nawiązywał kontakty z tym międzynarodowym towarzystwem. Nie można powiedzieć, żeby oni wrogo się do nas odnosili. To wszystko byli jeńcy z wojny: Hiszpanie z błękitnej dywizji Franco, Rumuni którzy walczyli u boku Niemców, Węgrzy i Włosi to samo.

Gdzieś tak na początku listopada poruszenie: mamy się stawić na stołówkę, wszyscy. (Tam była niemiecka świetlica, pięknie zrobiona. Trzeba powiedzieć, że Niemcy to zdyscyplinowany naród, daleko nam do nich.) Wychodzi komendant obozu i powiada: "Za

nieskolko dnief ujeżdżajecie na rodinu. Dostaniecie od nas nowe fufajki i nowe buty. Trzeba je szanować, bo w kraju jest po wojnie, niczego nie ma. W Polsce zastaniecie inne warunki, niż jakżeście wyjeżdżali i na to bądźcie przygotowani."

Znów dojeżdżamy do Wołogdy. Wagony nie były już zabite, wolno było wychodzić. W Moskwie postój. Poleciał ktoś i kupił gazetę: "Mikołajczyk udrał!" Ja miałem zamiar odłączyć się od transportu, bo bałem się, że nas po ucieczce Mikołajczyka zawrócą do obozu.

Po czterech dniach pociąg ruszył i dojechaliśmy do Brześcia. W Brześciu przywożą "Wilka" - Krzyżanowskiego. Rozmowa, co się stało. Okazuje się, że on doszedł do Wilna, poszedł na swoją kwaterę. Prawdopodobnie gospodyni go wydała, tak mówił. Aresztowali go i etapami dostarczyli do Brześcia, razem z tym adiutantem. Za chwilę przyjeżdża grupa z Czerepowca. Później cały Biłgoraj, bo ich wywieźli za Wołgę gdzieś. Spotkałem jeszcze innych znajomych, szkolnych kolegów z seminarium nauczycielskiego, którzy wrócili z Workuty. Był wśród nich Bolesław Mączka - komendant gminy Żółkiewka, dzielny chłopiec - potwornie wycieńczony, bo pracował w kopalni, tak samo jak Edek Hasiec, Antek Koczkoń i bracia Nowosadzcy.

Po czterech dniach wyjechaliśmy do Białej Podlaskiej na punkt dożywieniowy i tak skończył się mój pobyt w Rosji.

W Białej Podlaskiej nastąpiło rozproszenie i każdy mógł wolno wyjść. Puszczali nas partiami, nie wszystkich razem. Ja miałem takie szczęście, że wyjechałem w ostatniej szóstce, między innymi razem z Doliną. Zapowiedziano mi, że po powrocie do domu mam się od razu zgłosić do RKU w Kraśniku.

Wróciłem do Biłgoraja. Okazuje się, że żona wyjechała. Przychodzi do mnie dyrektor szpitala dr Pojasek i mówi: "Chodź do mnie, ja cię odpasę. Adres twojej żony mam, dostaniesz i

pojedziesz do żony". Poszedłem do niego, bo gdzie pójde.

Ale człowiek chodzi po mieście. Tylu znajomych, wszyscy chłopcy z lasu: ten siedział, ten zbity, tego skatowali. Skarżyć się przychodzą chłopcy. Co ja im poradzę? Boję się, że może być i prowokacja. Mówią do mnie: "Panie, przecież u nas karabiny na drzewach rosną. Powiedz słowo." Bałem się. W szpitalu chyba tydzień byłem. Dr Pojasek adres żony mi dostarczył - zatrudniona w Lutomiersku, jest dyrektorką szkoły rolniczej w Mikołajewicach. Już myślę, że będzie wszystko w porządku, że dojadę do niej.

W nocy ktoś puka do okna. Mieszkałem na piętrze, ale ktoś puka. Otwieram, przychodzi gość i powiada: "Proszę pana, ja jestem zastępcą komendanta UB. Niech pan wyjeżdża, bo inaczej będziemy zmuszeni pana aresztować. Tu ma pan adres żony. Żonie pańskiej krzywdy nie zrobiliśmy a mogliśmy. Jutro o szóstej przyjedzie po pana samochód, odwiezie do Rudnika nad Sanem a tam będzie pan miał pociąg do Łodzi". Nazwisko tego ubowca nie było mi znane, nawet nie interesowałem się tym. Zbudziłem dra Pojaska, podziękowałem mu za gościnę i on powiedział mi jeszcze: "Niech pan na te tereny nie wraca, to ja panu radzę".

Rano faktycznie przyjechał po mnie samochód, dostarczyli mnie do Rudnika, tam miałem pociąg do Łodzi. W Łodzi dowiedziałem się, gdzie są te Mikołajewice i tam dojechałem do żony. Wtedy dopiero spuchłem, dostałem opuchlizny, wyglądałem jakbym ważył ze sto, kilo. Ale później to zeszło.

Zacząłem w styczniu szukać pracy. Pracy w Łodzi, ile się chce, ale jak wychodziło na jaw, że w Rosji byłem, to nawet koledzy, którzy byli dyrektorami: "Wiesz, u mnie są takie układy, ty z Rosji, to ja nie mogę, idź do tego, to on ci da posadę. Nie brakuje u nas." Tak chodziłem dwa tygodnie. Kiedyś spotykam swoją koleżankę, Halinę Brodowską. Okazuje się, że ona jest rektorem

uniwersytetu w Łodzi. - "Co robisz?" - "Ot widzisz, szukam pracy." - "Chodź do mnie do mieszkania." Poszedłem, opowiedziałem jej, jak jest. - "Czekaj, jutro wpadnij do mnie. Moją koleżanką jest pani Tatarkiewicz, która jest sekretarzem wojewódzkim na Łódź. Ja ją znam dobrze, pójdziemy do niej."

Przyjechałem na drugi dzień do niej, poszliśmy do tej pani Tatarkiewicz. I można znów mówić o tych partyjniakach różnie - nienawidziłem ich serdecznie i nienawidzę - ale wysłuchała, że wróciłem z Rosji i powiedziała tak: "Że pan ma żal do nas, to ja wiem, ale to są sprawy inne. Tu ma pan kartkę, zgłosi się pan z nią do dyrektora Wende z Centralnego Zarządu Przemysłu Włókienniczego w Łodzi i tam pan będzie zatrudniony." Faktycznie, zostałem starszym referentem. Wende dał mi kupon na trzy metry materiału, kupiłem, dałem do krawca i to było moje pierwsze ubranie po powrocie.

Żona pracowała w szkolnictwie, ja sam nauczyciel z zawodu, więc potem poszedłem na nauczyciela. Zostałem dyrektorem liceum rolniczego w Blichu w roku 1951. Byłem tam, aż nie dogrzebali się do moich akt. Zwolnili mnie, żonę zwolnili. Zostaliśmy nawet bez mieszkania, bo było służbowe. Jeszcze szczęście, że mnie nie zamknęli. Napuścili na mnie ZMP, bo ja nie pozwoliłem zdjąć krzyży w szkole a wtedy zdejmowali. Powiedziałem, że ja krzyża nie wieszałem, więc ja go zdejmował nie będę. Ci chłopcy z ZMP w liceum mieli po 21 lat, niektórzy już z wojska popowracali. Oskarżyli mnie, że ja kiedyś na wykładzie powiedziałem, że armia radziecka to była banda a niemiecka to była armia. Ja wykladałem ekonomię polityczną. Twierdzili, że jak mówię o spółdzielniach produkcyjnych, to sięśmieję. Taki szereg bzdur. I całe szczęście, że trafiłem na mądrego prokuratora, który nie dał wiary tym oszczerstwom.

Musieliśmy wyjeżdżać natychmiast. Dostaliśmy mieszkanie w takiej szkole rolniczej w Mirosławicach koło Kutna. To była najstarsza szkoła rolnicza w Polsce przedwojennej. Ale z czego żyć? Ani pracy, ani pensji - nic. I tam byłem zmuszony pójść na głównego księgowego do gminnej spółdzielni w Bedlnie. Tam się musiałem nauczyć księgowości z całym komentarzem.

Chłopom zabierano całe plony, te kontyngenty. Taka najbogatsza wieś koło Bedlna nazywała się Szewce. Ci rolnicy mnie znali, bo ja zawsze żyłem ze wsią. A chłopci to jest naród kochany. Każdy wiedział, nosem czuł. Idę zobaczyć, jak tam przyjmują zboże na magazynie, bo jako główny księgowy muszę się interesować. A tam stoi gospodarz, oddaje zboże. Jak mnie zobaczył, jak zaczął tę władzę ludową maścić, co oni robią, ostatnie zboże mu zabierają a tu siew przychodzi. Była milicja, słyszała, jego zamknęli, no a ja jako główny świadek. Mówię: "Wysoki sędzie, oddał wszystko, co miał, ziemia woła ziarna, mleko oddaje wszystko, dzieciom swoim daje po pół szklanki, resztę dolewa wody, bo oddaje wszystko państwu. Zboże oddał a siał trzeba w polu." A prokurator mówi: "Ten świadek powinien tu siedzieć razem z oskarżonym".

Ale nie zamknęli mnie, chłopca - o dziwo - zwolnili. To była pierwsza sprawa. Później był taki rolnik Cybulski, taki księżok (tzn. z byłego księstwa Łowickiego) zabity. Powiedzieliśmy sobie, że jak Stalin umrze, to sobie ćwiartkę wypijemy. Stalin zachorował, Cybulski puka do mnie do biura, mówi: "Panie, już zdycho, już krwią scy. Pójdziewa na ćwiorteckę." (Do tej pory ta historia w Bedlnie tkwi.) Mówię: "Ja nie pójdę, bo praca jest do trzeciej." - "Poczekum." Wychodzę z biura, on czeka. Poszedłem z nim do gospody, zamówiłem obiad i tę ćwiareczkę. Ponieważ byłem księgowym, to ludzie mnie znali, więc musiałem na chwilę wyjść, z

komś pogadać. W tym czasie mój Cybulski, jak mi ludzie później powiedzieli, zaczął przemowę do wiszącego na ścianie portretu Stalina: "No widzisz, ty zdychosz a ja sobie ćwiorteckę piję. Ale żebyś nie patrzył" - wziął widelec i mu oczy wykiął. Ja słyszę, tam jest krzyk na sali. Idę a mojego Cybulskiego już prowadzi milicja. Przecież nie zostawię chłopca aresztowanego! Robię co mogę przez przewodniczącego powiatowej rady, Stasiaka, który później został sekretarzem wojewódzkim w Sieradzu. Po Stalinie zaczęła się odwilż, jego zwolnili a ja nie mam w Bedlnie co robić.

Pojechaliśmy z żoną na Mazury, znalazłem pracę we wsi Pozedrze koło Węgorzewa jako główny księgowy zespołu PGR. Przyszedł rok 1956. Odwilż. Zostałem wybrany do powiatowej rady, zacząłem działać. Ale Polska jest mała - w Węgorzewie spotykam znajomych z Biłgoraja i to tych, którzy walczyli najdzielniej. Jeden z nich dopiero po 56 roku wrócił do właściwego nazwiska. Nazywał się Stefan Miazga. Poza tym okazało się, że w okolicy jest bardzo dużo nasiedlonych Ukraińców, tych z UPA, z akcji "W". I oni doszli do mnie, że ja byłem przeciwny burzeniu cerkwi przed wojną. Zacząłem tam mieć renomę. Jak coś trzeba było uchwalić, to mnie przewodniczący musiał prosić, bo chłopcy szli za mną. Tak, że zacząłem być władzą na tych Mazurach.

Sekretarz partii nazywał się Paradowski - pijaczyna, ale taki uczciwawy. W czerwcu 1963 roku wieczorem zatrzymuje się przed domem samochód, wychodzi z niego Paradowski i mówi: "Wiesz ty co, ty uciekaj stąd, bo cię aresztują. Ja cię nie obronię. Zaczynają prowadzić przeciwko tobie dochodzenie, że kawały polityczne roznosisz, że organizujesz różne rzeczy. Ty uciekaj stąd." Co zrobić? Wziąłem urlop, szukam pracy nowej. Znalazłem w województwie bydgoskim, jako główny księgowy w zespole PGR.

Córka już była na studiach w Poznaniu na politechnice. Pojechała do Poznania żona i okazało się, że mogę być zatrudniony w Wojewódzkim Zjednoczeniu PGR w Poznaniu a ona dostaje etat gdzieś na gospodarstwach jako księgowa. I znów się ludzi spotyka, lecz już unikam wszelkich rozmów politycznych, nauczony doświadczeniem. Potem przeniosłem się do kombinatu PGR w Żydowie i tam doczekałem emerytury.

Na emeryturze wziąłem sobie mieszkanie spółdzielcze w Luboniu. Żona zmarła w roku 1971. W Domu Weterana przebywam chyba czwarty rok. Mam córkę i syna. Syn ma dwoje dzieci małych. Dzieci krzyczą, ja już potrzebuję spokoju.

Pragnąłbym poświęcić jeszcze kilka słów swojej żonie. To była wspaniała kobieta i dzielna towarzyszka. O wszystkim, co się ze mną wiązało, wiedziała i wszystko akceptowała. Po moim aresztowaniu pojechała interweniować do gen. Dąbka, przewodniczącego WRN. - "Jak się nie zna na polityce, to niech się nie miesza. Jak posiedzi, to zmądrzeje." - usłyszała w odpowiedzi. Pojechała do Warszawy. Spowodowała, że dwa razy posłowie PSL składali interpelację w sejmie w mojej sprawie. Wielka patriotka - kiedy została dyrektorką szkoły w Mikołajewicach, to można powiedzieć, że wychowała całe pokolenie działaczy wiejskich. Skończyła WSR w Szczecinie, miała nawet propozycję zostania podsekretarzem stanu w Ministerstwie Rolnictwa, ale odmówiła. Całe życie dodawała mi otuchy i twardo przy mnie stała. Miała na imię Jadwiga, z domu Frączek.

Po tych wszystkich przejściach ta przeszłość gonila mnie wszędzie i znalazła nawet w tym Domu Weterana. Tu mam jednego przyjaciela, emerytowanego dyrektora kombinatu w Żydowie, Raumulta. Też był w obozie w Riazaniu. W Poznaniu mam kupę znajomych z konspiracji. Z powiatu Biłgoraj, z lubelskiego. Jest



Wacław Modzelewski, jest Palczewski, oni byli ze mną w obozie. Żyjemy po przyjacielsku. Z innymi koresponduję.

Antoni Radzik - mój kolega szkolny z seminarium... To była ministerialna głowa! Jak organizowaliśmy jeszcze pierwsze Służba Polsce, to ja zostałem komendantem gminy Kosudza a on był szefem organizacyjnym. Później został adiutantem "Kaliny". Jak ja się ujawniłem, to on był przy mnie, to jest więcej jak brat. Mnie aresztowali, on został. Zorganizował się WiN, więc on został komendantem WiN-u na powiat. Zmienił nazwisko na Wrzeszcz, był we władzach wojewódzkich WiN-u. Nawet bitwę stoczył z wojskiem radzieckim. Niepośledniej prawości. Pod tym nazwiskiem Wrzeszcz go aresztowali. Skazany na śmierć, ale go ułaskawili. Jak wróciłem z obozu, spotkaliśmy się w Warszawie. Popłakaliśmy się, cóż więcej pozostało. On w 1959 roku zmarł. Tak był zbity, tak był skatowany w śledztwie. Kto go przesłuchiwał, to on sam nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć. Jak nocowałem u niego parę razy opowiadał tylko, jakie tortury przechodził. To wszystko robili Polacy. Nazwisk nie wymieniał. Jego przesłuchania odbywały się najpierw w Biłgoraju, potem w Lublinie. Co on tam przechodził, to się nie da wypowiedzieć. Zamykanie w karcu, moczenie w wodzie, bicie, członka mu zamykali w szufladę i dociskali... Człowiek zdaje sobie sprawę, że przesłuchiwanie przez Gestapo to było dzieciństwo w porównaniu do tego, co nasi robili.

Powoli dowiadywałem się, gdzie zginęli moi przyjaciele, że rostrzelali Poźnika i Gniewkowskiego. Z tych, cośmy razem działali, jeszcze kilku żyje, np. Badach. A przyjaciele, bliscy współpracownicy - wszyscy zmarli, żaden nie żyje. Ja się wstydę, że tak długo żyję...

w 1956 roku dostałem przez pocztę zagraniczną zawiadomienie i

odpis rozkazu nr 5 z podpisem gen. Kamińskiego, że jestem odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Na początku powiedziałem, że historia AK jest niedopracowana. Moim zdaniem w ogóle jej nie ma. Na przykład bitwa pod Osuchami, to jest jedna, jedyna bitwa partyzancka (nie ta w lasach Puszczy Solskiej). Opisał ją w swojej książce ten pepeerowiec, Załuski, ale w zupełnie innym duchu - tam cały szereg niezgodności. Nikt do tej pory się nie znalazł, kto by to opracował rzetelnie. To, co w Londynie opracowano, to są fragmenty nie dotyczące kraju. Ta historia ginie. Razem z nami.

Ginie historia ludzi, bo nie ci na górze byli bohaterami, tylko ci na dole. Bo ci na górze byli dobrze konspirowani a na dole każdy liczył się ze śmiercią. Dzisiaj już jest nowa legenda - legenda "Solidarności". My idziemy w zapomnienie. Jeśli mój pobyt w Rosji nie jest zaliczony do lat pracy, to gdzie ja żyłem? Mojej emerytury mogą mi nie podwyższać, bo ja bez tego przeżyję. Tylko jaki jest stosunek prawny do tych rzeczy? To boli człowieka. Jeśli ci, co byli w "Solidarności" wytoczyli sprawę i wygrali 170 milionów, to człowiek patrzy i kiwa głową. Bo ja tylko kiwam głową na to. Jak to?! Tylu ludzi zginęło w Oświęcimiu i w lasach za Polskę! To jest p o n i ż e n i e tych, co zginęli. Bo ja przeżyłem. Jak przeżyłem, tak przeżyłem. Nie żądam niczego, czort z tym wszystkim! Że dali mi majora? Cholera mi z tego! Że "honor"- po co mi to? Ja nie dlatego działałem. I jak mówiłem, działałem od początku, od 11 listopada 1939 roku. Robiłem to, co mogłem a byłem sobie zwykłym szarym człowiekiem, nauczycielem wtedy. Publikowane wspomnienia rzeczywistości nie odtwarzają. Ja patrzę na rzeczywistość a nie na mity. "Ponury" to był bohater, to nie ulega wątpliwości. Ale przez jego działalność zginęło okpło tysiąca osób, ludzi niewinnych na wsi. To też prawda. Cały

Wiśniów, to też prawda. On się nie podporządkował rozkazom komendy okręgu. Te rzeczy trzeba mówić otwarcie, nie tworzyć mitów, bo są ludzie którzy mówią i chcą błyszczeć.

Z tych czasów obozu, zesłania, to ja mam tylko pytanie: ludzie, co znaczy dla was Polska? Przecież wy walczyacie nie o Polskę a o stołki! To co się mówi, co każdy krzyczy, to są tylko słowa. A czyny? Do czego to prowadzi? Komuna odżywa. Zamiast widzieć to zagrożenie, to co się robi? Ja się liczę, że 1 maja mogą być zamieszki, bo oni zechcą robić jakieś pochody. A my co?! Nie mówię o swoim pokoleniu, bo ja już jestem nad grobem. Ale wy? O stołki się kłócić? Kto ma być ministrem? Chcemy iść do Europy?!